Witold Mogilnicki
Rzowiec
p. Budnik k./Krasnystaw
tel. Żółkiewka 14.
Kol. Ruskie Piaski

KORSARZ.

NIEBO I ZIEMIA.

KORSARZ.

—

NIEBO I ZIEMIA.

Poemata Lorda Byrona.

Przekład

Antoniego Edwarda Odyńca.

W LIPSKU

u Breitkopfa i Haertela.

—

1841.

A-8115

Pozwolono drukować, pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno, 1840 roku 12 Października.

Cenzor, Professor b. Uniw. Wileń., Radźca Koll. i Kaw.
Jan Waszkiewicz.

B.

D 305/51/433

13 e

IGNACEMU CHODŹKOWI

NA PAMIĄTKĘ CHWIL TYLU Z NIM I PRZEZ NIEGO MIŁYCH

POŚWIĘCAM

A. E. Odyniec.

1000174164

Witold Mogilnicki
Bzowiec
p. Rudnik k./Krasnystaw
tel. Żółkiewka 14.
... kol. Ruskie Piaski

KORSARZ

Powieść

LORDA BYRONA.

„— I suoi pensieri in lui dormir non ponno.“
TASSO. Canto. X. *Gerusallemme Liberata.*

PIEŚŃ PIERWSZA.

„— Nessun maggier dolore,
„Che ricordarsi del tempo felice.
„Nella miseria..............

Dante.

I.

„Na modrych głębiach jasnej morskiej wody,
Myśl nasza wolna, buja duch swobody;
Moc nasza wielka! — W krąg wysp i nadbrzeża,
Gdzie wiatr dowiewa, gdzie fala uderza,
Tam dom nasz, państwo, łup naszej odwagi;
Mórz i flot berłem jest maszt naszej flagi.
Nam w dzikiem życiu czuć wciąż, niespodzianie,
W każdym dniu nowość, rozkosz w każdej zmianie.
O! i któż pojmie? — nie ty zniewieściały,

Cobyś mdlał patrząc na wzburzone wały;
Nie ty pieszczochu, co wiek w zbytkach trawisz,
Spiąc nie spoczywasz, bawiąc się nie bawisz;
O! i któż pojmie? — prócz tych samych, którzy
Pląsali z falą rozigranej burzy,
Tę pełność życia, ten war krwi co pali
Serce żeglarza na bezdrożnej fali,
Tę żądzę bojów, tę pewność zwycięstwa,
Tę radość, rozkosz śród niebezpieczeństwa! —
Gdzie trwożni rozpacz, my tryumf znajdujem,
Gdzie słabi mdleją, my żyjem i czujem,
Czujem jak w piersiach krzepi się i wzmaga
Duch i nadzieja, siła i odwaga.
Nie strach nam śmierci, byle wprzód lub razem,
Wróg u stóp naszych skonał pod żelazem:
Byle wprzód z życia rozkosz wyssać w życiu: —
Gdy ginąć, cóż ztąd, w bitwach czy w rozbiciu?
Niech bojaźliwy zakochaniec świata,
W męczarni bolów długie jęczy lata,
Potrząsa głową, krzyżuje ramiona:
Nam łożem piasek lub trawa zielona.
Gdy strach zeń duszę dzień po dniu wywleka:

Nam strzał, cios jeden — duch wolny ucieka.
Jemu niech dziedzic pyszną złoci trumnę,
Radzi że umarł, niech stawią kolumnę:
Po nas łzy płyną krótko, ale szczerze,
Gdy nas w swe głębie ocean zabierze,
Dla nas się nawet w biesiadniczem kole
Puhar pamięci zaiskrzy na stole;
Nagrobkiem dla nas zabrzmi chwała męztwa,
Gdy pozostali dzieląc łup zwycięztwa,
Wspomną poległych, i rzekną ze łzami:
„Szkoda że mężni nie dzielą go z nami.“

II.

Taka pieśń brzmiała na wyspie korsarzy,
Dokoła ognisk ponadbrzeżnej straży,
I bijąc echem o chropawe głazy,
Jak one twardy był ton i wyrazy.
Leżąc na piasku rozrzuconą zgrają,
Ci ostrzą bronie, ci piją lub grają,
Probują strzelby, handlują łupami,
Nie patrząc nawet na krew, co je plami;
Brzmią szczęki siekier ciosających łodzie,

Ów marząc patrzy po dalekiej wodzie,
Ów czyha rychło ptak mu w sidła wleci;
Mokre na słońcu rozwieszają sieci,
A każdy coraz pogląda ku morzu,
Czy gdzie nie dojrzeć żagla na przestworzu,
Lub wspominając ostatnią wygraną,
Radzą zkąd znowu świeży łup dostaną. —
Zkąd? wódz niech myśli — im tylko przystało
Ufać, iść za nim i uderzyć śmiało.
I któż jest wódz ten? — od brzega do brzega
Imie się jego jak piorun rozlega;
To dość — o resztę nie troszczy się rzesza:
W bitwach on tylko z ich tłumem się miesza,
Z resztą sam zawsze — krótkie jego słowa,
Lecz wnet co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.
Nie lubi gwaru; nigdy z nimi społem
Nie zasiadł wesoł za biesiady stołem;
Śmiech ni żart nigdy ust mu nie umili;
Lecz mężny — męztwu hardość wybaczyli.
Próżno go kolej pełnego kielicha
Wabi w przechodzie, on z wzgardą odpycha;
A jego uczta! — najlichsi z czeladzi

Wzajemby z wzgardą odepchnąć ją radzi!
Jadło, chleb suchy; napój, czysta woda.
Zbytkiem nie częstym, owoc lub jagoda,
A i tych nawet ze wstrętem dotyka,
Jakby związany ślubem pustelnika;
Ale im żądze zmysłów trzyma srożej,
Rośnie w nim dusza, i siła się mnoży.
„Płyń tam!“ — wnet płyną — „rób to!“ — wnet zaczęto,
„Za mną i naprzód!“ — poszli, i łup wzięto.
Tak skory rozkaz, skorsza jego ręka,
Każdy drżąc słucha, lecz pytać się lęka.
Szyderczy uśmiech, wzrok i twarz surowa,
Karcą zuchwalca za niewczesne słowa.

III.

„Patrz! żagiel, żagiel! — podajcie lunety!
Zkąd? czyja flaga? czy zdobycz?“ — niestety!
Nie zdobycz — jednak cieszą się weseli.
Z masztu czerwoną chorągiew ujrzeli:
„Nasza łódź, nasza! powraca z wyprawy!“
Dmij w pełne żagle, dmij wietrze łaskawy!
Nim słońce zajdzie, zawinie do brzegu.

„Patrz, patrz jak lekka! zda się pląsa w biegu.
Rozwite skrzydła — jak buja wspaniale!
Z szumem przed sobą prze kipiące fale;
Weszła w zatokę — patrz! idzie jak żywa.
Zda się żywioły do walki wyzywa! —
Możeż się lękać burz, bitew lub trudu,
Pan takiej łodzi, wódz takiego ludu? —“

IV.

Skrzypią powrozy, krzyczą robotnicy,
Opadły żagle, łódź drga na kotwicy.
Spuszczają czółno — w podwójnym szeregu
Siedli wioślarze i pędzą do brzegu.
Wkoło na piasku tłum zebrany czeka,
Poznaje, woła i wita zdaleka.
O słodkie głosu przyjaznego dźwięki!
O słodki uścisk przyjacielskiej ręki!
Gdy wita w porcie żeglarza z wyprawy,
Gdy na bezpieczny brzeg wiedzie go z nawy;
Słodkie łzy, uśmiech, słodkie zapytania,
Gdy pocałunek odpowiedzi wzbrania!...

V.

Wieść się rozbiegła, tłum rośnie z pospiechem,
Gwar, ciżba, wrzawa, przerywana śmiechem,
I głosy kobiet znać w cichszej rozmowie;
Imie kochanka, męża, w każdem słowie:
„Czy zdrów, czy żyje, czy na brzeg wysiądzie,
Czy dziś, czy jutro zabawi na lądzie;
Gdzie był, co robił, czy bił się walecznie,
Mniejsza co zyskał, gdy wrócił bezpiecznie;
Lecz czy nie ranny, dla czego nie z wami,
Czyż on nie wiedział że czekam ze łzami? —“

VI.

„Gdzie jest wódz? — ważne przynosim nowiny,
Spieszmy, czas nagli, drogie są godziny,
Dzięki wam bracia, żeście braciom radzi,
Lecz niech nas Żuan do wodza prowadzi:
Wrócim za chwilę — zostańcie tu bliscy,
Wnet, co kto zechce, dowiecie się wszyscy —“
I poszli, kędy na najwyższej górze

Twierdza ich wodza wzbija się nad morze,
Śród bujnych krzewów i kwiatów pachnących,
Gdzie tysiąc zdrojów świeżością dyszących,
Srebrzy się szemrząc po złomach granitu;
Poszli pod górę, — dochodzą do szczytu.
Któż to nad brzegiem przepaścistej skały,
Wsparty na mieczu spogląda na wały?
To on, wódz, Konrad — sam jak zwykle, myśli —
„Idź naprzód Żuan! powiedz żeśmy przyśli.
Okręt nasz widzi; — powiedz że go pro im
O posłuchanie, ważną wieść przynosim.
Idź, my nie śmiemy; wiesz jak się wnet zżyma,
Gdy mu kto nagle stanie przed oczyma. —"

VII.

Przystąpił Żuan — Konrad spojrzał srogo,
Wysłuchał, skinął, że się zbliżyć mogą:
Przyszli, ukłonem witają zdaleka,
Powitał wzajem, na słowa ich czeka.
„Wodzu, przynosim list od Greka szpiega
Co nas o łupach i wrogach ostrzega.
Ważność tych wieści sam wódz niech oceni.

My też..“ — „Już dosyć!“ — zmilkli zawstydzeni.
Wziął list, ciekawi poglądają z boku,
Wrażenia wieści dojrzeć w jego wzroku,
Zgadł myśl, czytając twarz zwrócił na stronę,
Może by ukryć uczucia wzburzone.
Skończył — na świstku coś pisze — „Żuanie!
Gdzie Gonzalw?“ W łodzi—wezwać?—„Niech zostanie!
Nieś mu ten rozkaz — wy nie stójcie dłużej,
Każdy na miejsce, gotów do podróży,
Na waszej nawie sam z wami dziś płynę. —“
— Dziś wodzu? w nocy! — „we dnie, za godzinę.
Wiatr będziem mieli — minuty nie zwlekać,
Wezmę płaszcz, pancerz — u portu mię czekać.
Ty weź mą trąbkę; patrz by z rdzy otarty
Zamek mej strzelby spuszczał nie uparty.
Wezwać płatnerza niech mój miecz bojowy
Natoczy ostro i da mu hart nowy.
Rękojeść zwłaszcza niech szerzej rozkuje;
Ta broń mię więcej niż bitwa morduje.
Spieszcie! na hasło że czas już odpłynąć,
Dać ognia z działa, i żagle rozwinąć. —“

VIII.

Kazał — posłuszni odeszli w pokorze.
Nie w smak im znowu puszczać się na morze,
Gotowi jednak; Konrad sam prowadzi;
Któżby śmiał pytać na co on uradzi?
Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,
Którego nigdy śmiechu ni westchnienia
Nikt z nich nie widział, którego z daleka
Sam widok, twarz ich bladością powleka,
Rządzi ich duszą, z tą sztuką władania,
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.
Cóż jest ten urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży?
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?
Potęga myśli, duszy czarnoksięstwo!
One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja.
Tem on ich wolę pod rząd swej podbija,
Walczy ich ręką, sam, jak mistrz sprężyny,
Gmin dziełem jego własne mniema czyny.
Jest, było, będzie — to bieg świata tego,
Wielu pracować musi dla jednego.

Lecz niech nieszczęśnik co w trudach umiera,
Nie zajrzy temu, co owoc z nich zbiera,
Niechby znał ciężar co wielkość nań zwala,
Pozna jak lżejsza niższych cierpień szala! —

IX.

Nie na wzór świata dawnego mocarzy,
Szatanów w czynach, lecz bogów na twarzy,
Konrad nic w sobie niema nad człowieka.
Blask czarnych oczu ćmi smutna powieka,
Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi,
Ani się wzrostem wyniosł nad innymi;
We wszystkiem jednak biegły wzrok badacza,
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.
Patrząc nań, wszyscy dziwią się i śledzą,
Że tak jest czują; lecz czemu? nie wiedzą.
Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,
Włos kruczy bujno pierścieniami spada,
Nie raz z brwi groźnych, z drżenia ust, lub z czoła
Znać dumę, której poskromić nie zdoła.
Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi,
Więcej niż mówi, znać że tai w głębi.

Szybka gra rysów nagle się mieniących,
Wabi ciekawość, lecz miesza patrzących,
Jakby w tym duszy posępnym pomroku
Kryły się czucia zbyt straszne dla wzroku.
Tak o nim sądzą — prawdy nie świadomi, —
Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma?
Umie on sztukę — gdy ciekawość skryta
Mniema że z twarzy głąb serca wyczyta —
Umie on sztukę, że wnet zamiar zgadnie,
I sam w ciekawca duszy brodzi na dnie,
Aż zadrżeć musi, by go wzrok Konrada
Nie przejrzał na wskróś, niż on coś w nim zbada.
Śmiech jego głośny, lecz jest coś w tym śmiechu,
Jakby sam szatan śmiał się w jego echu;
Jest coś, co w sercu słyszących go ludzi,
I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.
Wzrok jego gniewny, zabija Nadzieję,
Przed groźbą jego, Przebaczenie mdleje.

X.

Wstręt ma iść na jaw złej myśli katusza,
Wewnątrz to, wewnątrz — tam pracuje dusza!
Miłość jest szczera, śmieje się czy wzdycha:
Ale nienawiść, lecz zbrodnia, lecz pycha,
Drgnieniem ust chyba, uśmiechem goryczy,
Zdradzą ci przepaść głębi tajemniczej.
Z gry chyba rysów, z mieniącej się twarzy,
Poznasz namiętność, gdy się w piersiach żarzy.
Lecz kto chcesz dojrzeć jej pełnię i zmiany,
Wtenczas patrz tylko, gdyś sam nie widziany.
Patrz gdy wódz w nocy z rozognionem czołem
Załamał ręce, szybkiem chodzi kołem,
I nagle stanie i zadrży, czy w ciszy
Śledzącej zdrady kroków nie dosłyszy.
Patrz jak się dziko groźna brew nachmurza,
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza;
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha,
Iskrzy, mgli, krzepnie, i znów ogniem bucha.
Patrz — jeźli zniesiesz widok tej katuszy,
Jaki los jego, jaki pokój duszy;

Jak cel zawiści gminu, śród ukrycia
Pożywa owoc występnego życia.
Patrz, tam go poznasz — lecz któż to z badaczy
Przejrzy człowieka? — kto ducha obaczy? —

XI.

Lecz nie natura stworzyła w Konradzie
Srogiego wodza zbojeckiej gromadzie,
Zmienił on duszę, wprzód nim czyny swemi
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.
Z młodu pan siebie, więzów świata jeniec,
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szaleniec,
By drżeć, zbyt mocny — by uledz, zbyt hardy;
Za chęć być dobrym, cel szyderstw lub wzgardy;
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źrodło,
Zalśniony gniewem, klnąc zdrajców obłudzie,
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie,
Dla których lepiej darów swych używszy,
Znalazłby szczęście i stał się cnotliwszy;
Lżony, wzgardzony, bez zgryzot nawzajem
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,

I obrał sobie, za swój cel na ziemi:
Za winy kilku, mścić się nad wszystkiemi —
Czuł się występnym, lecz dumny, rozumiał
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,
I gardził dobrym, jak tym, co w obawie
Czyni to skrycie, co mężny na jawie.
Nienawidzony, wiedział że u ludzi
Nienawiść jego strach i zgrozę budzi,
Przestawał na tem — zimny, dziki, hardy,
Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy.
Stronić, drżeć przed nim, potępiać go, skarżyć,
Kląć może każdy — lecz nikt lekce ważyć.
Depcą robaka, lecz któż bez bojaźni,
Kto nie pomyśli nim węża rozdraźni?
Robak się zwinie, i nie mszcząc się kryje,
Wąż zginie, ale i wroga zabije,
Sam się nań rzuci, łamie się, pasuje,
Choć nie pokona, krew jadem zatruje.

XII.

Nikt nie zły całkiem — i w duszy Konrada
Jedno tajemnie słodsze czucie włada.

Szydzi on z drugich, że ich wikła w sieci
Namiętność godna szaleńców lub dzieci,
Sam prożno rozum przeciw niej natęża,
W nim nawet miłość wolę przezwycięża.
Tak, jest to miłość — wzajemna — płomienna,
Jedyna dotąd, i niczem niezmienna.
Tłum się mu branek na oczy nawija,
On ich ni stroni, ni szuka — lecż mija.
Nie jedną piękność w mocy swojej trzyma,
Żadnej słodszemi nie uczcił oczyma.
Tak, jest to miłość — jeźli czułość tkliwa,
Stateczna w probach, w każdej chwili żywa,
Której samotność, świat, szyderstwo ludzi,
Ani co większa sam czas nie ostudzi,
Której ni zmienne fortuny igrzysko
Nie zaćmi smutkiem, gdy kochana blisko,
Która w boleści, w gniewie, ni w niedoli,
Cierpkiego na nią słowa nie dozwoli
I bez pociechy woli znieść katusze,
Niż ich podziałem zasmucić jej duszę.
Jeźli ta czułość, nie próżna, nie płocha,
Jest tem, co zową kochaniem — on kocha.

Występca, zbrodzień, z każdej cnoty zboczył,
Przeciw tej jednej w niczem nie wykroczył;
Ona, gdy wszystkie zgasły po kolei,
Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.

XIII.

Zaczekał nieco — brew marszczy ponuro,
Aż spiesząc z braćmi, Żuan znikł za górą.
„Straszna wieść! tylem niebezpieczeństw przebył,
Cóż jest, żem nigdy jak dziś smutny niebył? —
Źle wróży serce — ale się nie boi.
Ni mię tak ujrzą towarzysze moi!
Idziem śmierć spotkać — lecz gdybym tu zwlekał,
Pewniejbym śmierci i hańby doczekał.
Dziś, gdy plan pójdzie, los wzmoże w potrzebie,
Przybędzie płaczu na naszym pogrzebie!
O! niech spokojnie, niech spią rozmarzeni,
Przyspieszę dla nich świt takich promieni,
Wiej tylko wietrze! — tak jasnych i ciepłych,
Że aż krew zawre w ich sercach okrzepłych! —
Czas do Medory! — milcz, milcz serce moje,
Pragnę mieć pokój, nim ją zaspokoję —

Jednak jam śmiały! — lecz tu wszyscy śmieli,
Gad gdy się broni, równą śmiałość dzieli.
Zwierząt nie ludzi godna jest odwaga,
Którą strach śmierci lub chęć łupu wzmaga.
Gardzę jej chwałą — cel godny mej dumy
Był, uczyć garstkę, jak zwyciężać tłumy.
Wódz ich, nie dałem krwi ich marnie płynąć.
Lecz dziś — dziś trzeba zwyciężyć lub zginąć.
Jedno lub drugie — nie mnie śmierć zasmuci —
Lecz wieśdź tam wszystkich, zkąd żaden nie wróci!
O! dola moja dawno mi już zbrzydła! —
Lecz mamże senny dać się ująć w sidła,
Drżąc czekać śmierci? — lub aby się zbawić,
Cześć, władzę, życie, razem na szwank stawić?
Losie mój, losie! czuję dłoń twą groźną.
Zbaw jeźli możesz — jeszcze nie za poźno! —“

XIV.

Tak dumał w sobie, aż idąc ponury
Doszedł do wieży na wierzchołku góry.
Wstrzymał się u drzwi — głos się ozwał w ciszy,
Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;

I taką piosnkę posępnej czułości
Nócił z za kraty jego Ptak — piękności.

„Żyje w mej duszy myśl — tajemnica,
„Drży mi na ustach, gore w spójrzeniu,
„Gdy obok ciebie patrzę w twe lica;
„I znów się w dawnem kryje milczeniu.

„Jak lampa w grobie skryta przed okiem,
„Myśl ta w mem sercu błyska i tleje,
„Smutek jej blasku nie ćmi swym mrokiem,
„Choć sam jej blaskiem nie rozjaśnieje.

„Przyjdź, gdy ja umrę, do mej mogiły,
„Pomódl się za mnie, łzę wylej po mnie;
„Tej tylko myśli znieść nie mam siły,
„Że ty mój luby, zapomnisz o mnie! —

„Nie wstyd jest płakać zeszłych ze świata.
„Raz pierwszy proszę — łzy i wspomnienia,
„Będzie to pierwsza, jedna zapłata,
„Mojej miłości, mego cierpienia."

Porwał się Konrad, pchnął drzwi i z pospiechem
Wszedł, — strony arfy brzmiały jeszcze echem,

„Smutna, Medoro, jest twoja ballada! —“
— „Chciałżbyś wesołej, gdy nie ma Konrada?
Gdy ciebie nie ma, a żal miota duszą,
Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.
Każdy ton, serca uczucia wydaje;
Lecz choć pieśń milczy, boleść nie ustaje. —
Ach! ileż nocy na bezsennem łożu,
Marzę jak we śnie o skałach, o morzu;
Zmierzcha — ja myślę że niebo się chmurzy,
Wiatr ledwo szemrze, mnie słychać szum burzy;
Cóż gdy posępnem odezwie się wyciem?
Zda się, że jęczy nad twojem rozbiciem.
Zrywam się, patrzę, czy stróże niekarni
Nie dali zgasnąć portowej latarni,
I o pogodę gwiazd pytam oczyma.
Nastał poranek — ciebie jeszcze niema —
Jak wtedy zimno na me serce wiało,
Jak przez łzy słońce mgliste się zdawało!
Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie!
Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie.
Wreście — postrzegam maszt, okręt, tu płynął,
Witam go, czekam — zbliżył się — i minął.

Znów drugi — twój był — powróciłeś z boju.
O mój Konradzie! mam-li w niepokoju
Zawsze tak czekać? — nigdyż serca twego
Nie ujmie powab szczęścia spokojnego?
Masz dosyć skarbów — ach! więcej niż trzeba —
Znajdziem kraj milszy, pogodniejsze nieba,
Pojdźmy! — o siebie wiesz że się nie boję —
Lecz twoje szczęście — lecz ach! życie twoje!
Dziwne twe serce! gdy dla mnie tak tkliwe,
Tak srogie dla się, i tak nieszczęśliwe! —"
— „Tak, moja luba; dziwne jest to serce.
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,
Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak żmija.
Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija.
Bez żadnej ulgi na ziemi, prócz Ciebie,
Ze mdłą nadzieją przebaczenia w niebie,
W duszy się mojej tak wiąże i splata
Miłość dla Ciebie, z nienawiścią świata,
Że gdy się jedna, wraz druga ostudzi;
Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi.
O to się nie bój! — przeszłość moja cała
Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.

Lecz uzbrój serce — raz jeszcze, Medoro,
Dziś — muszę jechać — ale wrócę skoro. —"
— „Jechać! dziś jeszcze? — ach! jam to przeczuła,
Tak znikły wszystkie sny com sobie snuła,
Marząc o szczęściu! — Lecz dziś? — być nie może,
Łódź ledwo przyszła, maż znów iść na morze?
Nie czekać drugiej? — znużeni jej ludzie
Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie.
Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie
Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.
Igrasz z mem sercem — ono ci wybaczy,
Lecz z takich żartów blizko do rozpaczy. —
Milcz, milcz Konradzie! — nie jedziesz dziś — wierzę.
Pojdź dzielić ze mną twą skromną wieczerzę.
Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jej, ni zastawić.
Lekki trud wprawdzie ucztę ci przyprawić!
Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,
Im bliższe słońca, tem prędzej dojrzewa.
Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu
Najświeższą wodę znalazłam w strumieniu.
Pójdź, niech cię sorbet orzeźwi po skwarze,
Patrz jak się iskrzy w kryształowej czarze.

Wina ty nigdy skosztować nie raczysz,
Drżysz jak muzułman gdy puhar obaczysz;
Nie sądź że ganię — o nie! — to mnie cieszy,
Że i w tem nawet różnisz się od rzeszy.
Lecz pojdź! stół gotów; ja okna zasłonię,
Srebrna ta lampa, patrz, jak jasno płonie.
Wezwę mych dziewic, niech zaczną w około
Lub raźny taniec, lub piosnkę wesołą.
Lubisz mą arfę — czy chcesz? — wnet nastroję,
Lub jeźli wolisz, będziemy oboje
Czytać z Aryosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale;
Po tobie jednak mnie byłoby smutniej,
Gdybyś dziś jechał, zrobiłbyś okrutniej,
Okrutniej nawet niż Tezeusz zdradny.
Wiem, ty się śmiejesz, gdy ci Aryadny
Wyspę niekiedy wskazuję z wysoka,
A mnie myśl smutna łzy pędzi do oka:
Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił? —
Aleś ty lepszy, tyś do mnie powrócił.“ —
— „Wróciłem, luba, i powrócę znowu,
Zawierz miłości i Konrada słowu,

Wrócę, i rychło — lecz teraz już chyża
Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.
Gdzie, po co jądę? — na co długie słowa,
Gdy je ma skończyć najgorsze: Bądź zdrowa!
Odkryłbym jednak — lecz już czas zbyt drogi.
Nie bój się, wcale nie straszne są wrogi.
Tu ci zostaje straż silna, podwojna,
Będziesz bezpieczna — o mnie bądź spokojna,
Nie baw samotna gdym ja oddalony,
Jadących ze mną poruczam ci żony.
W tem miej pociechę, że po tem zwycięstwie
Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie.
Słyszysz! dźwięk trąbki? — ha! łódź już gotowa.
Jeden wzrok, uścisk, — raz jeszcze — bądź zdrowa!"

Łkając na szyi zawisła rękami,
Drżące w nim serce czuje pod ustami,
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku
Bladości w twarzy i rozpaczy w oku.
W całej dzikości bezładnego wdzięku,
Włos jej po jego rozesłał się ręku;
Stłumiony oddech i mdłe serca bicie,

Świadczą w niej tylko cierpienie i życie.
Zabrzmiał huk działa — odjazdu godzina,
Słońce zachodzi — on słońce przeklina.
Strzał drugi, trzeci — ścisnął z uniesieniem
Niemą od żalu, proszącą milczeniem,
I drżącym krokiem zaniósł ją na łoże;
Spojrzał z rozpaczą — raz ostatni może —
Dreszcz przebiegł serce — uczuł że dla niego
Prócz niej na świecie nic nie ma miłego,
Dotknął ust, zimne — spotkał wzrok, wpółzgasły, —
Zwrócił się nagle — drzwi z łoskotem trzasły.

XV.

„Co? już go nie ma?“ — straszliwe pytanie,
Gdy kto tak nagle samotnym zostanie! —
Przed chwilą jeszcze tu stał — widzę — gadał,
Jeszcze głos słyszę — tu cień jego padał;
Gdzież jest? — Wybiegła obłąkanym krokiem,
I łzy się wreście lunęły potokiem,
Bujne, gorące — myślą za nim woła:
„Bądź zdrow!“ — wymówić nie śmie, i nie zdoła,
Ach! bo w tem słowie — choć się chcą uśmiechać

Ufność, Pociecha — Rozpacz tylko słychać.
W bladych jej rysach, jak w twarzy z kamienia,
Tchnie dziki wyraz wiecznego cierpienia,
Oczy jej modre, szkliste, bez promieni,
Jak gwiazdy we mgle, błądzą po przestrzeni,
I ach! dostrzegły — to on! — już daleki.
Wtedy raz jeszcze zpod łzawej powieki
Błysły, jak słońce z za deszczowej chmury,
Próżno! nie spojrzał, znikł w zaroślach góry.
„Poszedł!“ — jak posąg blada, nie ruchoma,
Łkające piersi przyciska rękoma;
Spojrzała jeszcze — port przed jej oczyma,
Bielą się żagle i morze się wzdyma.
Nie patrzy więcej — w drzwiach błysła jej postać —
„Prawda więc — jedzie — samej kazał zostać!“ —

XVI.

Szybko wprost z góry, na głaz skacząc z głazu,
Biegł Konrad, nazad nie spojrzał ni razu,
Lecz drżał ilekroć ścieszka przed nim boczy,
By na zakręcie nie wpadła mu w oczy
Samotna jego, lecz miła mu wieża;

Zawsze go pierwsza witała z nadbrzeża,
Gdy wracał z morza — iona w niej, ona
Burzliwej duszy gwiazda nie zamglona! —
Jeden wzrok jeszcze, a moc w nim rozbroi —
Nie śmie go ujrzeć, pomyśleć się boi
Że mógłby zostać — chciałby — któż mu przeczy? —
Zostać — by zginąć od napastnych mieczy! —
Nie! — raz, raz jednak chciał stanąć, chciał wrócić,
Na los zdać wszystko, zamiar na wiatr rzucić;
Nie! — myśl niegodna — nie! — prawego męża
Płacz niewiast miękczy, ale nie zwycięża —
Ujrzał swą nawę, zważa wiatr przychylny,
Zwrócił myśl ku nim, i znów w sobie silny,
Znów chyżej naprzód — i gdy z brzegu słyszy
Wesołą wrzawę mężnych towarzyszy,
I łoskot fali, co pod wiatrem rosła,
I hasła majtków, i szybki szum wiosła,
Gdy widzi okręt — maszt niebu urąga:
Rozskrzydlił żagle, kotwicę wyciąga —
Gdy widzi czółna, w których ludzie zbrojni
Płyną na okręt — jak wszyscy spokojni!
Choć jak śnieg biało i gęściej od śniegu

Chustki żon ku nim powiewają z brzegu;
Gdy widzi zwłaszcza, jak z masztu zwieszona
Igra z wiatrami chorągiew czerwona —
Sam się zadziwił, że był słabym tyle,
W wielkim zamiarze zachwiać się na chwilę.
Żar w jego oczach, dzikość w jego duszy,
Uczuł sam siebie — nic go już nie wzruszy.
Pospiesza, bieży, aż zbiegł gdzie równina,
Co skałę kończy a brzeg rozpoczyna,
Tam zwolnił kroku — świeżość blizkiej głębi
Krzepi znużenie, ogień lica ziębi;
Lecz stanął raczej, by zimną odwagę
Wrócił swej twarzy, swym krokom powagę,
Wprzód nim go ujrzą. — Konrad sztukę umie,
Jak tając dumę, tłum shołdować dumie.
Wyniosłość lica, i zimną postawę
Co stroniąc niby obudza obawę,
I wzrok, i uśmiech, co choć serc nie zraża,
Hamuje płochość, i śmiałość przeraża,
Wszystko ma w mocy, by zgraję zaślepić,
Rozbroić opór, i władzę ukrzepić.
Lecz gdy chce ująć — z ufnością przyjaźni

Każdy wnet pierwszej zapomni bojaźni,
Niewolnik z duszą na rozkaz gotową —
Nad dary drugich droższe jego słowo,
Gdy jakby z serca głębi tajemniczej
Zagra do serca głos tęsknej słodyczy.
Lecz rzadko słodycz w parze z jego duszą:
Nie dba czy zechcą, gdy co każe, muszą.
Czy podłość drugich, czy dumy szaleństwo, —
On depce miłość, by miał posłuszeństwo.

XVII.

Wkoło broń straży brzękła czcią wodzowi,
Zbliżył się Żuan — „Czy wszyscy gotowi?“ —
— „Już są w okręcie; ostatnie przy lądzie
Czólno to czeka, póki wódz nie wsiądzie.“ —
„Miecz mój, płaszcz, trąbkę.“ Miecz przypiął z niechcenia,
Trąbkę ma w dłoni, płaszcz zwiesił z ramienia.
„Zawołać Pedra!“ — przyszedł — Konrad wita,
Pierwszemu z wodzów grzeczność należyta.
„Weźmij ten papier, — zamyka rozkazy,
Ważne — bacz pilnie na wszystkie wyrazy.
Zdwoić straż — skoro Anzelmo przybędzie,

Tu ma wskazane, co powinien będzie.
Za trzy dni z wiatrem wrócim ku brzegowi,
Tymczasem, Pedro, czujność! — bądźcie zdrowi"
Rzekł, podał rękę, skinął na wioślarzy,
I skoczył w czółno z wyniosłością w twarzy.
Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mleczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.
Dopłynął nawy, — stoi na pokładzie —
Gwiznięto z góry, ruch w całej gromadzie;
On zważa okręt, jak lekki na fali,
Jak słucha steru — uważa i chwali:
„Gdzie jest Gonzalwo?" — zbliżył się młodzieniec,
W skłonionej twarzy radości rumieniec.
Uprzejme słowo wódz już w ustach trzyma —
Czegóż się wezdrgnął? czy się gniewem żżyma?
Ach nie! — on ujrzał swą twierdzę na skale,
Wspomniał rozstanie, zgadł Medory żale,
Jeźli na okręt pogląda w tę chwilę; —
Nigdy on, nigdy nie kochał jej tyle! —
Lecz nim noc minie, wiele zrobić trzeba.
Odwrócił oczy, spojrzał w błękit nieba,
I wnet z Gonzalwem zszedłszy na spód nawy,

Odkrywa cele i środki wyprawy,
Przed nimi mappa i lampa na stole,
I kompas; w ręku cyrkiel i półkole:
Północ — czuwają; twarz obudwu groźna,
Bezsennym oczom któraż chwila poźna! —
Tymczasem w żagle dął wiatr pożądany,
Okręt jak sokół, leci przez bałwany,
Sto wysp minęli sterczących granitem;
Cieszą się, celu dopłyną przed świtem.
Już przez szkła nocne liczą bez obawy,
W ciasnej zatoce natłoczone nawy
Baszy Seida; widzą jak niedbali
Stróże przy ogniach gasnących czuwali.
Okręt ich kołem obiegł czaty przednie,
Wszedł, gdzie bezpieczny skryłby się choć wednie.
Przy pustym brzegu, za skałą wysoką,
Straży ni szpiega nie dojrzy go oko.
Konrad na pokład zgromadził swych ludzi,
Do powinności, lecz nie ze snu, budzi.
Wsparł się na poręcz, rozkazy objawia,
Rozmawia zimno — choć o krwi rozmawia. —

KONIEC PIEŚNI PIERWSZEJ.

PIEŚŃ DRUGA.

„Conoscete i dubbiosi desiri?"
DANTE.

I.

W zatoce Koron las masztów się jeży,
Na zamku Koron lampy błyszczą z wieży,
Tam Seid Basza częstuje żołnierzy:
Święci swój tryumf — jutro spodziewany —
Gdy zbójców zgromi i pojma w kajdany.
Tak na Allaha przysiągł swemu Panu.
Wierny przysiędze i słowom firmanu
Zwołał swe nawy; — coraz w liczbę rosną,
Tłum coraz większy tryumfuje głośno.
O łup, o branki przed wzięciem się kłócą,
Jeszcze nie wyszli, już pewni że wrócą.

Nie wątpić, z rana gdy pod żagle wsiędą,
Przed zmrokiem zbójców port i łup zdobędą.
Tymczasem straże mogą spać bezpiecznie,
Nie dość jest bić się — niech marzą walecznie.
Lub gdy sen komu nie cięży w powiekach,
Może ramienia próbować na grekach.
O! godne czyny barbarzyńskiej dłoni!
Katować więźnia gdy się już nie broni,
Napaść dom greka, sprzęt skruszyć pod nogą,
Bić — byle tylko nie zabić nikogo —
Dziś są łaskawsi — nie chcą, czy nie mogą.
Gdzie nie gdzie tylko słychać jęk i razy.
Lecz to żart! — Basza zakazał obrazy.
Wzdłuż brzegu wszędzie śmiech, muzyka, wrzawy;
Kto kochasz głowę, śmiej się, dziel zabawy:
Bo dziś muzułman wesół, choć bez wina —
Wytężył dowcip — łaje i przeklina.

II.

W biesiadnej sali, w lśniącym złotogłowiu,
W białym zawoju, wsparty na wezgłowiu
Seid, śród gości, spogląda wesoły.

Skończona uczta, odstawione stoły.
Twarz jego płonie, ogień iskrzy z oka:
Pije on, mówią, napój nie proroka.
Nie śmieją drudzy; prawowierni, trzeźwi,
War wonnej mokki myśl w nich tylko rzeźwi.
Z długich cybuchów dym bucha w około,
Gdy Almy w środku tańcują wesoło.
Jutro na bitwę! — lecz dziś, w nocnej porze,
Nie dość bezpiecznie puszczać się na morze.
Na wzdętych falach sny nie tak powabne,
Jak gdy ich łoże kołysze jedwabne.
Więc się dziś bawią — jak błyśnie świtanie,
Pójdą, bo muszą — nadzieja w Koranie!
Choć widok floty, i gwar tłumnej rzeszy,
Ziemską nadzieją nie mniej dumę cieszy.

III.

Ze czcią bojaźni, od wnętrznych podwoi,
Idzie niewolnik, co w nich stróżem stoi.
Schylił się, czołem uderzył podłogę,
Nim w drżących ustach głos rozwiązał trwogę.
„Derwisz podróżny, zbieg z więzów korsarzy,

Przybył, i czeka czy się wejść odważy?" —
W skinieniu Baszy zgadł znak jego woli,
Odszedł — wszedł derwisz, — zbliża się powoli.
Skromnie na piersiach krzyżuje ramiona,
Krok jego słaby, źrenica spuszczona.
Trudów nie wieku starość znać z postawy,
Twarz jego blada, z postów nie z obawy.
Poświęcon Bogu włos spada szeroko,
Okryty czapką okrągłą, wysoką.
Długa, powiewna, rozpuszczona szata,
Obwija piersi — oziębłe dla świata.
Pokorny, jednak pan siebie, bez strachu
Spotyka oczy iskrzące w krąg gmachu.
Nikt nie śmie pytać, lecz wszyscy ciekawi,
Co wnet spytany przed Baszą objawi.

IV.

„Zkądeś Derwiszu?" — „Przez zbójców pojmany
Uszedłem z więzów" — „Gdzie? kiedy zabrany?"
— „Do wyspy Scio z portu Skalanowy,
Płynął nasz okręt, wiózł towar handlowy.
Nie szczęścił Allah, — wola jego święta, —

Napadli zbójcy, nawa nasza wzięta,
Towar złupiony, — myśmy poszli w pęta.
Nie miałem bogactw, śmierci się nie bałem,
Lecz tracąc wolność, straciłem co miałem.
Długo mię gniotła przemoc świętokradzka;
Wreście noc ciemna i łódka rybacka,
Tu mię zbawiły — tu, w opiece twojej,
Potężny Baszo, któż się zbójców boi? —"
— „Jakże ci zbójcy? jak zbrojni? czy śmieli?
Myślisz że opór stawićby mi chcieli?
Czy wiedzą o mnie, że z jutrzejszą gwiazdą
Mam zniszczyć ogniem skorpijonów gniazdo?" —
— „Baszo! wzrok we łzach nie wiele dostrzega,
Trudna więźniowi przenikliwość szpiega.
Słuchałem tylko morskich fal łoskotu,
Ptastwu morskiemu zazdroszcząc przelotu:
Widziałem tylko — ach! przez kraty ciasne,
Niebo — zbyt czyste, słońce — zbyt mi jasne;
I żeby innem czem zająć mą duszę,
Czułem że wolność wprzód odzyskać muszę.
Lecz z mej ucieczki znać, że się nie strzegą,
Że się nie muszą obawiać niczego,

Zręczność ratunku próżnoby mi znikła,
Jeźliby brzegów strzegła czujność zwykła.
Niebaczność straży, jak mojej podróży,
Równie zbliżeniu twej floty posłuży. —
Lecz Baszo! głosu i sił mi już braknie,
Trud odpoczynku, głód posiłku łaknie.
Pozwól bym odszedł — pokój, pokój z wami,
Odchodzę za was modlić się ze łzami. —"
— „Stój, stój Derwiszu! mam cię jeszcze badać!
Stój! słyszysz! każę — musisz odpowiadać.
Usiądź, wieczerzę przyniosą ci słudzy,
Nie będziesz pościł gdzie ucztują drudzy.
Powiesz mi potem, jak naoczny świadek,
Krótko i jasno — nie lubię zagadek" —
Niewiedzieć czemu Derwisz drgnął — i srogo
Zpod brwi zmarszczonych spojrzał — jakby z trwogą:
Łaska w nim Baszy nie budzi wdzięczności,
Ni go snać wzrusza cześć obecnych gości,
Bo przygryzł wargę, i bladość nie zwykła
Jak błysk po licu przebiegła i znikła.
Usiadł w milczeniu, i wrychle nanowo
Przybrał wzrok zimny, i postać surową.

Przynieśli ucztę — kosztowne potrawy;
Jakby w nich jadu lękał się zaprawy,
Zadrżał na widok, ze wzgardą odpycha —
Dziwna w zgłodniałym wstrzemięźliwość mnicha.
„Co ci Derwiszu! — jedz, ust ci nie splami
Psie jadło Giaurów, — tuś nie ze zbójcami.
Co! sól odpychasz? — zgody zakład święty,
Co podzielona koi gniew zawzięty,
Sprzysięgłe na się łączy pokolenia,
I nieprzyjacioł na braci zamienia.“
— „Sól jest przysmakiem — pożywieniem mojem
Są polne zioła, woda mym napojem.
Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem
Bronią mi łamać chleb z bratem czy z wrogiem,
To cię zadziwia — i może obruszy,
Lecz względy ziemskie nie zbawią mej duszy.
Ty, ni sam Sułtan nie zmusi mię niczem,
Bym dotknął uczty przed ludzi obliczem,
Bo gdy raz zgrzeszę, gniew mi Mohammeda
Do świętej Mekki pielgrzymować nieda.“ —
— „Dobrze Derwiszu, gdyś tak bogobojny,
Powiedz mi tylko, — odejdziesz spokojny, —

Ilu ich? — Cóż to? ha! to nie jest zorze!
Co za meteor? co za blask na dworze!
Patrzcie! nad portem jakby ognia morze!
Pożar! — do broni! spieszcie! pożar! zdrada!
Flota się pali, a jam tu — o biada!
Przeklęty Derwisz! — przyszedł w sidła zwabić,
Giaur, szpieg przebrany! — pojmać go i zabić!“

Porwał się Derwisz na wybuch płomieni,
Nagłą w nim zmianą zbledli przerażeni:
Porwał się Derwisz, nie już w mniszym stroju,
Lecz jak wojownik gotowy do boju:
Rozdarł swą szatę, czapkę zerwał z skroni,
Pancerz na piersiach, szabla błyszczy w dłoni,
Hełm nizki, lśniący, nad nim czarne pioro,
Twarz się sczerniła, oczy ogniem gorą.
Jak na zjawisko piekielnego ducha
Pierzchły z serc wrogów męztwo i otucha.
Tłoczą się, biegną, śród zgiełku, śród gwaru —
Tu blask pochodni, tu łona pożaru,
Krzyk, hałas, groźby, przekłęstwa i jęki,

Huk trąb i bębnów, i oręża szczęki
Grzmią po powietrzu — jakby z mocą wściekłą
Całe na ziemię wyparło się piekło.
Zlękłe, zdumione, obłąkane straże,
Patrząc na morze, na niebo w pożarze,
Nie widzą Pana, nie słyszą co każe.
Próżno wre Baszy wściekłość rozdąsana:
„Pojmajcie szpiega, pojmajcie szatana!“ —
On ujrzał popłoch — cofnął krok rozpaczny,
Którym się na śmierć miotał nieobaczny,
Gdy pospiech braci wcześniej niż zalecił,
Niż wydał hasło, pożarem zaświecił.
On ujrzał popłoch — trąbkę do ust złożył,
Dźwięk czysty, głośny, echem się powtórzył,
Odpowiedziano — „Wy tu, bracia mili!“
Mógłżem posądzać, w niebezpiecznej chwili
Że mię umyślnie samym zostawili?“ —
Rzekł, miecz i ramię puścił w krąg szeroki,
Jakby chciał pierwszej powetować zwłoki;
Rosnący przestrach wściekłość w nim podwaja,
Pierzchła przed jednym rozpłoszana zgraja.
Toczą się głowy po krwawej podłodze,

Nikt nie śmie dostać; żołnierze i wodze
Nie ufni w dłoni, zaufali w nodze.
Seid ostatni w pierzchającym tłumie,
Grozi, klnie, błaga, wstrzymać go nie umie.
Mężny, sam jednak spotkania unika,
Strach uolbrzymił siłę przeciwnika;
Spojrzał z rozpaczą gdzie flota się pali,
I rwąc swą brodę, wściekły wybiegł z sali.
Nie czas już czekać — przełamano wartę,
Bramy pałacu runęły wyparte,
Wpadają zbójcy — próżno Trwoga blada,
Próżno Pokora na kolana pada,
U nóg zwycięzców próżno składa miecze,
Przeszli — krew ciepła strumieniami ciecze.
Pędzą gdzie znowu brzmi trąbka Konrada,
I jęk ginących tryumf zapowiada.
Wpadli, okrzykiem witają weseli,
Śród stosu trupów zwycięzcę ujrzeli.
Miecz trzyma w górze, ogniem iskrzą oczy,
Jak syty tygrys w krwi rozlanej broczy.
Krótka rozmowa: „Flota już w perzynie!"
— „Dobrze! lecz Seid musi zginąć" — „Zginie!"

— „Za mną i naprzód, z ogniem i żelazem!
Płoną okręta, czyż miasto nie razem?“ —

V.

Skorzy na rozkaz — patrz! już w oka mgnieniu,
Miasto, minaret i zamek w płomieniu.
Z dziką rozkoszą Konrad się uśmiecha;
Wezdrgnął się nagle — jakież słyszy echa?
Ha! to jęk niewiast! — jak dzwon na pogrzebie
Wstrząsł jego sercem, tak twardem w potrzebie.
„Harem się pali! — spieszcie do obrony!
Spieszcie! pomnijcie — i my mamy żony.
Na nie ach! spadnie krew niewiast — pomnijcie,
Nie krzywdzić żadnej, kto stoi o życie.
Śmierć nieść mężczyznom — lecz pomoc kobiecie.
Ach! jam zapomniał! — lecz czyż Bóg przebaczy
Sprawcy niewinnych śmierci i rozpaczy?
Idź kto chcesz za mną? ja choćby sam, idę
Zrzucić z dusz naszych tej zbrodni ohydę!“ —
I skoczył w ogień po wschodach runących,
Wyłamał otwór we drzwiach gorejących,
Po rozpalonych kamieniach podłogi

Śród kłębów dymu i iskier pożogi,
Z izb do izb biegną, szukają bez trwogi,
Znaleźli — wpadli — każdy na swych rękach
Unosi jedną, nie myśląc o wdziękach,
Ośmiela, cieszy, błaga, uspakaja;
Zna cześć piękności Konradowa zgraja.
Nie iść w ślad wodza najdzikszy się sroma,
Ratuje słabość — krwawemi rękoma.
Lecz któż jest, któż jest ta piękna i blada,
Ta najpiękniejsza w objęciach Konrada?
Postać niebianki, tronu godne lica,
Anioła godne — któż jest ta dziewica? —
Pani Haremu — Baszy niewolnica.

VI.

Krótko wódz spojrzał na wdzięki Gulnary,
Krótko ośmielał niosąc przez pożary,
Krótko pożegnał; — nie czas stać spokojnie.
Gdy litość chwilę sfolgowała wojnie,
Wróg nie ścigany zaczął się ozierać,
Zwalniać krok, stawać, zwracać się, opierać.

Widzi to Seid, widzi i poznaje,
Przed jaką garstką pierzchły jego zgraje;
Wstydzi się błędu, wstyd wściekłość w nim drażni,
Gdy widzi dzieło zbyt skorej bojaźni.
„Alla il Alla!“ okrzyk zabrzmiał w gminie,
Każdy jak wściekły, pomści się lub zginie,
Ogień za ogień, krew za krew niech płaci —
Lecą do boju po trupach swych braci.
Znów szczęk, wrzask ciżba — wre bitwa straszliwa,
Szczęście jak nagle wezbrało — odpływa.
Zwycięzcy tłuszczą ściśnieni zuchwalczą,
Już nie o tryumf, o swe życie walczą.
Ujrzał wódz, pojął, zgadł niebezpieczeństwo,
Słabnie przed tłumem siła — choć nie męstwo.
„Jeszcze raz, za mną! rozbić zgraję trwożną!“ —
Kupią się — biegną — uderzyli — próżno!
Wszystko stracone! — wróg ciaśniej otacza,
Nikt ujść nie zdoła, lecz nikt nie rozpacza.
Jeszcze są w szyku — ha! już przełamani,
Już rozpierzchnieni, ujęci, zrąbani.
Kto został, milcząc passuje się w gminie,
Aż z trudu raczej niż z rąk wroga zginie,

Aż choć raz jeszcze w konwulsyjnej pięści,
Na czaszce wroga mściwy miecz zachrzęści.

VII.

Lecz nim tłum dziki wszcząwszy bój zażarcie,
Sam się na wstępne odważył natarcie,
Wraz ze swą panią, dziewice Gulnary,
W domu mieszkańca jednej z niemi wiary,
Z rozkazu wodza umieszczone skrycie,
Przestały bać się o sławę i życie.
Z łez i Gulnary oschło czarne oko!
Lecz smutna, milczy i duma głęboko.
Tkwi w jej pamięci wybawca z płomienia,
Dźwięk jego głosu, blask jego spojrzenia:
Dziw jej, że zbójca śród krwawej dzikości,
Zdał się być czulszym, niż Seid w miłości.
W pieszczotach nawet Baszy niewolnica
Czuć musi łaskę, jaką pan zaszczyca.
Korsarz niósł pomoc, osłodę boleści,
Jak hołd należny godności niewieściej.
„Źle jest — co gorsza — wiem że próżno żądać,
Chciałabym jednak, — muszę go oglądać.

Winnam mu życie moje i tych branek,
Zapomniał o niem mój Pan — mój kochanek!“ —

VIII.

I wnet go widzi gdzie bój najzaciętszy,
Jęk najgłośniejszy, i tłok coraz gęstszy.
Sam wpośród trupów szczęśliwszych już braci,
Cofa się groźny w licu i postaci.
Każda piędź ziemi krwią za nim przesiękła,
Miesza się pogoń, ustaje zalękła.
Aż w krwi ślizgocie krok się jego zwinął,
Zachwiał się, upadł — chce zginąć, nie zginął!
Wzięty — ha! zbrodnia nie ujdzie bezkarnie,
Niech tylko zemsta wymyśli męczarnie.
Tamują rany — śmierć nie czyni zadość,
Kroplą po kropli przelać krew, to radość, —
Jęki po jękach słyszeć gdy je wyda,
To będzie rozkosz dla Baszy Seida.
Oby mąk rodzaj wynaleźć, wykonać,
By w ciąż w nich konał, nigdy nie mógł skonać!

Widzi Gulnara — tenże to syn męztwa,

Przed chwilą jeszcze wódz i pan zwycięztwa,
Którego słowo lub ręki skinienie,
Tysiącom niosło śmierć lub przebaczenie?
On to — bezbronny, lecz mężny w złej doli,
Życie go tylko, że je ustrzegł, boli.
Rany ma lekkie, choć sam ciosy wabił,
Chociaby całował miecz coby go zabił.
Niktże z tysięców — jednego potrzeba —
Nie chce go posłać — mniejsza, czy do nieba!
Samże on z braci ma zostać na ziemi,
On, co śmierć spotkać spieszył przed wszystkiemi?
Czuł on, co człowiek czuje, gdy na czoło
Ze szczytu upadł pod fortuny koło,
Czuł złe co zbroił, czuł blizkie katownie,
Czuł hardość wroga — czuł gorzko, gwałtownie;
Ale taż duma co go w głąb strąciła,
Wzmogła w nim serce, i boleść pokryła.
Wzrok pogardliwy i twarz obojętna
W jeńcu, zwycięzcy jeszcze noszą piętna.
Ranny, znużony, lecz gdzież są w tej chwili
Coby spokojniej i mocniej patrzyli? —
Słucha bez gniewu, jak stojąc zdaleka

Podła nań tłuszcza urąganiem szczeka;
Mężni, co zblizka w boju go widzieli,
Szanują w więzach dłoń przed którą drżeli.
Ledwo nań który z wiodącej go straży,
Żaden beze czci spojrzeć się nie waży.

IX.

Posłany lekarz — nie Litość posyła —
Ma rzec, co w mękach zniesie jeńca siła.
Znalazł jej dosyć, by dźwigać kajdany,
Znalazł dość czucia, by czuć ból zadany.
Jutro więc, jutro, gasnąc na gór szczycie
Słońce obaczy pierwsze na pal wbicie,
A rano z morza w zwykłej wstając mocy,
Ujrzy jak dotrwał w mękach całej nocy.
Z mąk to najsroższa, najdłuższe z ciepienia;
Z bolem konania łącząc żar pragnienia,
Śmierć, jedną ulgę, z dnia na dzień oddala,
Gdy już ćma sępów kracze wkoło pala.
„Ach wody! wody.“ — zemsta się naśmiewa,
Wskazuje puhar, zbliża — i rozlewa.
Próżno nieszczęsnik usta ku niej kwapił;

Skończyłby cierpieć, gdyby się raz napił.
To wyrok jego — odeszli strażnicy,
On został — jeden, w kajdanach, w ciemnicy.

X.

Któż uczuć jego pojąłby męczarnie,
Gdy on, ofiara, sam ich nie ogarnie?
Noc, wojna, zamęt, w myślach jego duszy,
Wszystkie w niej siły mdleją od katuszy,
Wszystkiemi jego uczuciami miota
Nieżałująca, rozpaczna Zgryzota,
Ow wróg nasz mściwy, co milcząc w potrzebie,
Po czasie woła: „ostrzegałem Ciebie.“ —
Próżno — pierś mężna jadem jej zatruta,
Klnie albo milczy — dla słabych pokuta.
Przed chmurą ciosów czyż obwód jej tarczy
Okryciu serca wielkiego wystarczy?
W tej nawet chwili gdy na w pół jak w grobie,
Całe swe życie czuje, widzi w sobie,
Żadna w niem zbrodnia nad inne grożąca,
Żadna namiętność ni myśl panująca,
Nie ćmi się przed nim tak, aby swym cieniem

Resztę przynajmniej skryła przed wspomnieniem;
Lecz okiem ducha spogląda od razu
Na całą przestrzeń dzikiego obrazu:
Widzi rozpierzchłe sny dumnej wielkości,
Skażoną chwałę, łzy, rozpacz miłości,
Znikłe nadzieje szczęścia, czcze zamiary,
Tryumf swych wrogów, kaźń grożącej kary, —
Przeszłość się czerni jak otchłań bezdenna,
Przyszłość, jak chmura gromami brzemienna;
Czyny i słowa, i myśli i chęci,
Co jak ćma nocna kryły się w pamięci;
Błędy wesołe lub miłe w swym czasie,
Lecz z których dzisiaj każdy zbrodnią zda się:
I wszystkie krzywdy któremi przewinił,
Co choć utail, sam wie że uczynił,
Których naprawić niema już sposobu:
Wszystkie jak duchy z otwartego grobu,
Wznoszą się z serca okryte żałobą,
I groźnym palcem wołają za sobą.
Wszystko on widzi — nim zwierciadło duszy
Ockniona Duma porwie i rozkruszy.
Tak Duma pokryć, Odwaga znieść śmiało

Potrafi wszystko — wszystko co się stało!
Lecz któż bez trwogi! — cóż ztąd że ukryta?
Godzien jest tylko chwały hipokryta:
Nie nędznik, co się sam chełpiąc, ucieka,
Lecz ten co nawet widzi śmierć — i czeka.
Lub gdy weń godzi grot nie chybny losu,
Bieży w pół drogi na spotkanie ciosu.

XI.

W warownej izbie, na najwyższej wieży,
Okuty Konrad na posłaniu leży.
Pałac spalony, — ta wieża zamyka
Baszę, kobiety, dwór i niewolnika.
Nie wini Konrad o srogość zwycięzcę,
Sam mu los równy gotował po klęsce —
Duma sam w sobie — strach, zgryzotę przemógł:
Lecz jest myśl jedna, której uspić nie mógł,
Której pomyśleć nie śmiał: „— jak te wieści
Przyjmie Medora? jak zniesie boleści? —"
Wtenczas — raz tylko wtenczas — z cichym jękiem
Porwał się z miejsca, i z kajdanów brzękiem
Wzniósł nagle ręce, jakby zerwać żądał

Więzy, na które z wściekłością poglądał;
Lecz udał męztwo, czy się w nie uzbroił;
Zaśmiał się gorzko, i gniew uspokoił.
„Teraz niech przyjdą — umiem znieść katusze,
Zniosłem najgorsze — lecz odpocząć muszę. —“
Rzekł, padł na łoże, zamknął skrzące oko,
I co bądź marzy — znać usnął głęboko.

Noc jeszcze — północ już była minęła,
Gdy pożar floty i bitwa się wszczęła,
Jak Konrad w planach, godna wodza rzesza
Skora w pełnieniu i w pracy pospiesza.
Nie było złego, choć w tak krótkiej chwili,
Coby go mogąc, wrogom nie zrobili.
W godzinie Konrad — korsarz na pokładzie,
Na lądzie rycerz, derwisz na biesiadzie,
Odkryty, blizki śmierci, ocalony,
Zwycięzca, tyran, zbawca, zwyciężony,
Jeniec, w kajdanach, jak zbrodzień po wojnie
Skazany na śmierć — i usnął spokojnie.

XII.

Spi — uśmiech w ustach, łza lśni z pod powieki,
Oddycha lekko — oby spał na wieki! —
Któż się to zbliża z łzawemi oczyma?
Wrogi odeszli, przyjacioł tu niema!
Seraf-li niebios utaiwszy blaski
Niesie mu we śnie zwiastowanie łaski?
Nie! choć anielska w licu piękność świta,
Ziemski to tylko jest anioł — kobieta.
Wzniesioną lampę w jednej trzyma dłoni,
Drugą jej światło przed uspionym chroni,
By blask niewczesny nie padał na oczy,
Co z snu otwarte, wnet znów śmierć zamroczy.
W powiewnej bieli, postać jej w milczeniu,
Jak duch wiejący, posuwa się w cieniu.
Lekka, wysoka — pierś tylko i lica
Mdłe światło lampy zaledwo oświeca,
Włos rozpuszczony — na białej odzieży
Jak smug ciemności, w pół na piersiach leży,
W pół spływa z ramion — stopa jak śnieg biała,
I jak śnieg cicho na ziemię spadała —

Któż ona? — sama, w nocy, mimo straży,
Jak tu wejść mogła? — jak się wchodzić waży?
Ach! spytaj raczej, przed jaką przeszkodą
Zadrży kobieta, gdy jej duszę młodą,
Czułość i litość, jak Gulnarę wiodą? —
Nie mogła usnąć — i gdy Basza we śnie
Marząc o klęsce, klnie, jęczy boleśnie:
Marząc o jeńcu, nakazuje męki; —
Wstała, i sygnet zdjęła z jego ręki,
Znak jego woli; który gdy okaże,
Wszelkie wnet przed nią rozstąpią się straże.
Przeszła bezpiecznie — nikt o nic nie bada;
Znużeni bojem strażnicy Konrada,
Zazdroszcząc więźnia spoczynkowi, sami
W pół senni ziemię zalegli przed drzwiami.
Ujrzeli pierścień, — mało się kłopocą
Kto go przynosi, gdzie idzie i po co? —

XIII.

Patrzy zdumiona — „On spi? — gdy z rozpaczą
Tylu dziś po nim, lub na niego płaczą!
Ja sama nawet! — Jakaż czarów siła

Tak mi go nagle drogim uczyniła?
Zbawił mi życie, poświęcił sam siebie —
Mamże go wzajem opuścić w potrzebie?
Chcę mu dopomódz — nie dbam o sąd ludzi —
Lecz cicho! — westchnął — poruszył się — budzi!“
Podniósł wzrok — blaskiem zaślepione oczy
Zdają się wątpić czy je sen nie mroczy.
Lecz ruszył ręką — głuchy brzęk okowu
Dowiódł że żyje, i cierpieć ma znowu.
„Któż jest ta postać? Anioł stróż z wejrzenia?
Zbyt zda się piękny na stróża więzienia?“
— „Nie znasz mnie — jestem z tych co czują wdzięczność
Za czyn, do jakich rzadkoś miewał zręczność.
Patrz, czyż nie pomnisz, żeś sam swą odwagą
Wyrwał mię z ognia, ustrzegł przed zniewagą —
Przyszłam — nie pytaj po co! — lecz nie szydzić —
Ja cię nie mogę, nie chcę nienawidzić.“
— „Jeźli tak, Pani, jesteś więc tu jedna
Której śmierć moja uciechy nie zjedna.
Tem gorzej! — smutku nie radbym ci sprawić.
Lecz dziś ich pora — chcą, mogą się bawić.
Słuszna im jednak wdzięczność niewolnika,

Że tak pięknego szlą mu spowiednika —"
Z największym smutkiem niekiedy się miesza
Dziwna wesołość — serca nie pociesza —
Choć błyszczy w oczach, łza z nich nie osycha,
Uśmiech jej gorzki — jednak się uśmiecha.
I nie raz światu, zamiast pożegnania,
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania,
Co choć nie radość, jak zda się, go budzi,
Ułudza drugich — lecz któż siebie złudzi?
Co bądź czuł Konrad; jak łuna ogniska,
Dzika wesołość w rysach jego błyska.
Mówił z uśmiechem, z szyderstwem na poły,
Wesołe słowa, i ton ich wesoły —
Znać że mu obcy; w burzliwem swem życiu
Rzadko miał porę miewać go w użyciu.

XIV.

„Korsarzu! pal twój gotów — lecz ma władza
Często gniew Baszy i wyrok złagadza.
Chciałabym — tak jest — chcę, muszę cię zbawić,
Dziś nie — dzień blizki mógłby nas wyjawić,
Lecz dość zyskamy, jeżeli jak wrożę,

Wyrok twej śmierci na jutro odłożę.
Dzisiaj nic więcej nie żądaj odemnie,
Gdyżbyśmy tylko zginęli daremnie."
— „Ja nic nie żądam — niech się los mój zbliży!
Spadłem zbyt nizko, bym się bał spaść niżej.
Więc oszczędź sobie trudu, mnie życzenia
Bym jak zbieg podły uchodził z więzienia.
Gdym nie zwyciężył — mamże z braci całej
Sam, nie śmiąc umrzeć, powracać bez chwały?
Jest wszakże jedna — o której duch marzy,
Której łzę zda się że czuję na twarzy!
W życiu mem dotąd jedyne pociechy
Były: mój okręt, mój miecz, jej uśmiechy,
I Bóg mój niegdyś! — przeszłość to daleka!
Jam się go z młodu, dziś on mnie wyrzeka.
Za niecześć ojca, mściwy karze sędzia;
Zwycięzcy moi, jego są narzędzia.
Nie czas już teraz, bym rozpacznik podły
Samolubnemi znieważał go modły,
Nie! — nie mam prawa prosić — i nie proszę.
Co zesłał, cierpię; — co znieść mogę, znoszę.
Miecz mój z niegodnej wytrącono dłoni,

Niegodnej dźwigać, jak on wiernej broni.
Okręt mój wzięty — lecz ta, tak mnie droga! —
Ach! za nią jeszcze chciałbym prosić Boga.
Ona jest wszystkiem dla mnie — a te wieści
Skruszą jej serce ogromem boleści.
Ta myśl jest dla mnie nad śmierć sroższą karą.
Ona tak tkliwa, tak piękna! — Gulnaro!
Nimem cię ujrzał, przeszły lata długie,
Żem nie pomyślał, czy są piękne drugie."
— „Ty więc już kochasz? — ty już kochasz inną?
Cóż mi to znaczy? — nie, nic nie powinno!
Jednak! — ty kochasz! — ach ja zajrzeć muszę
Duszy, wzajemną kochającej duszę,
Która nie czuje i nigdy nie czuła
Tej czczości serca, — co moje zatruła. —"
— Twoje? — sądziłem że z ogniów Haremu
Jam cię ratując, zachował lubemu? —
— „Seid mój luby? — ach nie! nie mój luby.
Niegdyś to serce, dziś już wzięte w kluby,
Długo się niegdyś ubijało we mnie,
By czuć wzajemność — niestety! daremnie.
Pragnęłam kochać, kochać jestem zdolną,

Lecz czułam, czuję — wprzód trzeba być wolną.
Jam niewolnica — cóż że z łaski Pana
Na panią innych niewolnic wybrana?
Gorzkie pieszczoty, gdy je przyjąć każą, —
Podląca wierność, pod dozorców strażą:
Lecz trudniej jeszcze, gdy wstręt serce mrozi,
Udawać czułość — bo Pan gniewem grozi.
Stokroć w dzień muszę w duszy mej złorzeczyć
Zimnym „czy kochasz?" — nie śmiejąc zaprzeczyć.
Bierze mą rękę; ni daję, ni bronię, —
Krew w niej jak martwa, ni krzepnie, ni płonie;
Patrzy mi w oczy — nie zmieszana stoję;
Ust jego żarem nie palą się moje.
Sama się sobą muszę tylko brzydzić:
Nie dość kochałam by choć nienawidzić.
Nie, nic nie czuję — odchodzi — nie pytam
Gdzie? kiedy wróci? — powraca — nie witam,
Nie myślę o nim — straszliwa rozwaga,
Czuję, jak coraz wstręt i sytość wzmaga.
O gdyby wreście nasycon wzajemnie,
Chciał sobie milszą wynaleźć odemnie,
I mnie zostawił — przed godziną boju

Mogłabym jeszcze powiedzieć: — w pokoju.
Lecz już się stało! — dzisiaj jeszcze muszę
Udawać czułość — nim twe więzy skruszę.
Za smutne życie ocalone brance,
Zbawcę mojego chcę wrócić kochance;
Wrócić jej sercu szczęście i wesele,
Jakiego sama z nikim nie podzielę. —
Bądź zdrów! — dzień świta, straże zejść nas mogą —
Nie umrzesz dzisiaj — okupię cię drogo. —“

XV.

Rzekła; i ręce okute Konrada
Z tkliwą pokorą do serca przykłada.
Poszła, jak przyszła — jako sen przelotny.
Byłaż tu ona? — znówże on samotny?
Jakażto kropla, jak brylant promienny,
Lśni na okowach od jasności dziennej?
Łza to najświętsza — łza ludzkiej czułości —
Najdroższa perła, co z morza Litości
Nim tkliwa dusza na świat ją uroni,
Już wygładzona w cherubina dłoni!

O jak urocza, jak silnie zwycięzka,
W oczach kobiety, jej łza czarnoksiężka!
Broń jej słabości, razem miecz i tarcza,
Jak do obrony, do zwycięztw wystarcza.
O! nie patrz na nią! — Cnota z drogi boczy,
Mądrość się zbłąka, gdy w nią wlepi oczy.
Jedna łza w oku Egipskiej królowej —
Pierzchnął bohater, świat poszedł w okowy.
Lecz nie potępiać błędu tryumwira! —
Tyłu się nieba, nie ziemi wypiera,
Rzuca się w piekło, wieczność w mękach pędzić,
By zalotnicy kilku łez oszczędzić! —

XVI.

Ranek — przez kraty na twarz więźnia pada
Jasność — jak smutny dzień mu zapowiada!
Wczoraj pan morza, wódz dzielnych zastępów —
Dziś, jeniec wrogów, — może pastwa sępów,
Kiedy to słońce co wschodzi tak jaśnie,
Okiem już jego niedojrzane zgaśnie,
Gdy wkoło świeżość chłodu wieczornego
Ożywi wszystko — wszystko oprócz niego.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

PIEŚŃ TRZECIA.

„Come vedi! — amor non m'abbandonna. —
DANTE.

I.

Zwolna — piękniejsze niż w dziennej kolei —
Zniża się słońce za wzgórza Morei. —
Nie w mgle, jak indziej, blade, bez promieni,
Lecz jak ognisko żyjących płomieni.
Po śpiącej głębi smugiem złota ciska,
Wre zda się woda, gdy z drżeniem połyska.
Nad wyspą Hydry, nad Eginy czołem,
Bóg wesołości, spojrzeniem wesołem,
Po raz ostatni luby kraj swój darzy,
Choć w nim już dawnych nie widzi ołtarzy.
Słupem z gór wierzchu cień zstępując siny,

Port nie podbitej zaległ Salaminy.
Przez głąb wąwozów, we zwierciadłach fali,
Krwawą purpurą horyzont się pali,
Gdy na gór szczycie, jak złota korona,
Lśni jeszcze słońca jasność zawieszona;
Nim wreście blaski zagarnąwszy całe,
Utonie do snu za Delficką skałę.

Takiż był zachód dnia, w którym przed wieki
Najmędrszy z Greków miał zawrzeć powieki?
Jak wtedy jego uczniowie płaczący
Drżeli o każdy promień konający,
Gdy jak to słońce, z niem razem, przed niemi
Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi.
Jeszcze nie! — jeszcze — słońce zachód zwleka,
Chwila rozstania jeszcze jest daleka! —
Lecz słońce patrząc w konające oczy,
Blask swój przed niemi i swe barwy mroczy,
Żałobę zda się po kraju rozlewać,
Gdzie dotąd Febus nie umiał się gniewać.
Lecz nim Cytery zakryła go skała,
Puhar stał próżny — duch uleciał z ciała —

Duch co dla Prawdy, śmierć i trwogę przemógł,
I żył, i umarł — jak nikt drugi nie mógł.

Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów
Wzbija się nocnych królowa błękitów,
Ni mgła, ni obłok, zapowiednik burzy,
Nie ćmi jej kształtu, ani lic nie chmurzy.
Owdzie śród ruin, pełnym wzrostem dumna,
Blaskiem jej dawna bieleje kolumna;
Tam z okrągłego minaretów wierzchu,
Młody jej obraz połyskuje w zmierzchu.
Gajem oliwne rozsadzone drzewa,
Gdzie skromny Cefiz wązki nurt przelewa,
Między cyprysy gronami stojące,
Letnich kiosków wieżyczki błyszczące,
I owa palma, samotna stróżyni,
Przy Tezeusza zwalonej świątyni,
Wszystkie koleją przynęcają oczy; —
Ślepą ma duszę, kto idąc nie zoczy.

Wojną z wiatrami Neptun zmordowany,
Do snu Egejskie uciszył bałwany,

W pręgach jasności złota i błękitu
Leżą zwierciadłem u stóp ścian granitu.
Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w nocnej uśmiecha pogodzie!

II.

Czas do mej treści — czyż myśl od niej boczy?
O ziemio Grecka! o kraju uroczy!
Któż, gdy cię poznał — o czemkolwiek pienia,
Nie rad w nich twego uświęcić wspomnienia?
Kto widząc z Aten zachód twego Feba,
Ich wieczornego mógł zapomnieć nieba?
Nie ten, co z gościa jakby syn twej ziemi,
Nie zmienny miejscy, ni laty długłemi,
Myślą po tobie dawne licząc ślady,
Żyje zaklęty między twe cyklady!
Ni hołd ten obcym pieśni swej uważa, —
Twą była wyspa mojego korsarza —
Wyzwól ją z jarzma którem wróg znieważa. —

III.

Słońce już zaszło — i jak wyspa cała,
Z ostatnim jego blaskiem pociemniała
Dusza Medory — trzeci dzień przeminął.
Dziś on miał wrócić — zbłąkał się, czy zginął —
Burzy niebyło, wiał wciąż wiatr łaskawy.
Anzelmo wczoraj powrócił z wyprawy,
Lecz wieść jedyna, którą opowiada,
Jest, że nie spotkał okrętu Konrada.
O gdyby spotkał! — chociaż krwawszych w treści,
Innychby w skutku doczekano wieści! —
Noc, wiatr dmie zimny — ona przez dzień cały
Z okna swej wieży patrzyła na wały,
Łudząc się widmem to masztów, to żagli.
Nie może dłużej, niespokojność nagli,
Zbiegła nad morze, i w lekkiej odzieży
Błądzi niebaczna wzdłuż płaskich wybrzeży.
Próżno ją fala pryskająca z brzega,
Oblewa rosą, o burzy ostrzega,
Nie dba, nie zważa, w tył kroku nie ruszy,
Nie czuje zimna — jej zimno w jej duszy.

Aż straszna pewność tak myśl jej obległa,
Że gdyby wtedy kształt jego postrzegła,
Lubby ją rozum, lub dusza odbiegła.

W tem łódka jakaś weszła do przystani,
W niej kilku ludzi — wszyscy krwią oblani,
Wszyscy Konrada towarzysze śmieli.
Uszli — jak? — sami prawie nie wiedzieli.
Widzą Medorę, poznali z daleka, —
Zliża się — milczą — każdy zda się czeka
Aż drugi zacznie, sam w duszy niewieściej
Bojąc się zbytniej obudzić boleści.

Ona nie pyta — ona wszystko zgadła —
Jednak nie blednie, nie drży, nie upadła.
W dziewiczej piersi wielkie czucia żyły,
Dotąd swej własnej nieświadome siły;
Mając nadzieję — bała się, płakała,
Straciwszy wszystko czułość skamieniała.
I głos się w sercu z dziką ozwał mocą:
Kto wszystko stracił, bać się nie ma o co! —
Nadludzkie męztwo, jakie w sercach ludzi

Szał gorączkowy albo rozpacz budzi! —
„Milczycie! dobrze! — ja nic nie chcę wiedzieć.
Nie — jedno tylko — ktoby mógł powiedzieć?
Nie patrzcie na mnie z twarzą obłąkaną! —
Prędko i krótko — gdzie go pochowano? —"
— „Pani! nie wiemy — zaledwo my sami
Z życiem ujść mogli — lecz jest między nami
Co utrzymuje, że wódz nie zabity,
Że jest w niewoli; — że go sam ukryty
Widział pod strażą: — ranny ale żywy —"
Nie słucha więcej — wieści przeraźliwej
Nie zniosło serce — przytomność i siła
Razem krzepnącą duszę opuściła.
Chwieje się, padła — i na wpół umarłą
Możeby morze mogile wydarło,
Lecz wnet ze łzami, choć dłońmi twardemi,
Skorzy w ratunku podnieśli ją z ziemi.
Niema sił stąpić — na rękach ją niosą, —
Skroń, piersi morską oblewają rosą,
Aż barwa życia wróciła na lice;
Posłali zbudzić śpiące służebnice,
I wnet, matrony zostawiwszy przy niej,

Odchodzą szukać Anzelma jaskini.
Smutnej wyprawy oznajmują skutki:
Zbyt długa powieść, na tryumf tak krótki.

IV.

Złożono radę — słowa się zatliły
Groźbą i zemstą; nie patrzą na siły,
Powinność woła — zda się że Konrada
Duch jeszcze z nimi na radzie zasiada:
Co bądź go czeka, poprzysięgli zgodnie
Albo go zbawić, albo pomścić godnie.
Biada niewiernym! — bo jeszcze zostali
Śmieli na wszystko, i o nic nie dbali! —

V.

W haremu swego głębi niedostępnej
Zamknął się Seid, i duma posępny.
Miłość, nienawiść naprzemian nim włada,
Gdy lub Gulnarę wspomni, lub Konrada.
U stóp mu siedzi piękna niewolnica,
Wzrokiem obawy patrząc w jego lica,
Mroczne — daremnie jej piękność i sztuka

Iskry uczucia w sercu jego szuka,
On licząc niby kaliwa rożańca,
Kroplami w myślach przelewa krew brańca.

„Baszo! dniem chwały dziś cię Allah darzy,
Bitwa wygrana, w więzach wódz korsarzy.
Ma umrzeć — słusznie — wart twej nienawiści.
Lecz czyżbyś większych nieosiągł korzyści,
Gdybyś pozwolił — sam to rozważ ściśle,
Ja radzić nie śmiem, lecz mówię co myślę —
By on wszystkiemi skarby które złupił,
Ten raz, na krótko z więzów się okupił.
O skarbach jego wieść cuda rozgłasza,
Radabym żeby posiadł je mój Basza.
On znów, osłabion klęską poprzedniczą
Z resztą swych łatwą stałby się zdobyczą.
Lecz gdy tu zginie, tamci zdjęci zgrozą
Uciekną z wyspy i skarby uwiozą.
— „Słuchaj Gulnaro! gdyby mi za każdą
Kroplę krwi jego, dyamentu gwiazdą
Zapłacić chciano; za każdy włos jego
Dawano sztabę złota dziewiczego;

Gdyby, jak plotą arabscy bajarze,
Skarb w Salomona zamknięty pieczarze
U stóp mi sypał: — za te wszystkie dary
Jednąbym chwilą nie zwlókł jego kary,
Gdybym nie wiedział, że raz w mojej mocy,
Ujść z niej nie zdoła, ni znajdzie pomocy.
Tymczasem myśleć kazałem w seraju,
Nad wynalazkiem nowych mąk rodzaju,
I sam rozmyślam jakich środków użyć,
By ból powiększyć, a życie przedłużyć.
— „Źleś sobie Baszo! myśl mą wytłomaczył,
Nie chcę, nie radzę, abyś mu przebaczył.
Nie! — chciałam tylko wskazać ci sposoby
Zyskania skarbów — gdyż co do osoby —
Choćbyś go puścił, w tym, w jakim jest stanie,
Nigdy on całkiem wolnym nie zostanie,
Sam ranny, banda zmniejszona połową,
Gdybyś chciał, pojmać mógłbyś go na nowo. —
— „Mógłbym go pojmać? — i chcesz bym dla tego
Miał go dziś puścić? — dziś już pojmanego,
Puścić psa Giaura, zbójcę, wroga mego!...
Puścić? — powiedzieć że łaskę tak wielką

Ty mu zjednałaś? ty obronicielko?
Chcesz bym go jeszcze nagrodził, pochwalił,
Że mnie chciał zabić, lecz ciebie ocalił? —
Mądrze doradzasz! — słuchaj, ja też radzę, —
Co powiem, zapisz w sercu i uwadze, —
Nie wierzę tobie kobieto! — w tej chwili
Stwierdziłaś sama co drudzy mówili.
Mów, czy gdy ciebie unosił z pożaru,
Ujść z nim natenczas nie miałaś zamiaru?
Lecz nie, milcz raczej! — ten ogień na twarzy
Sam już cię więcej niżbym żądał skarży.
Więc strzeż się piękna; rada winnych zbawiać,
Patrz, czy za tobą kto będzie się wstawiać —
Rozumiesz? — dosyć — przeklęta godzina,
Gdy cię uniosło ramie poganina,
Wolałbym gdybyś — lecz nie, wtedy pewnie
Łzami kochanka płakałbym cię rzewnie.
Dziś Pan ostrzega — próżne twe mamidła,
Wiesz że zbyt lotne umiem uciąć skrzydła,
Nie w słowach tylko grożę, i niepróżno! —
Wejdź w siebie dobrze, pomnij, bądź ostróżną!

Powstał, i dumnym oddala się krokiem,
Szyderstwo w ustach, gniew wisi nad okiem.
Nie znany jemu hart kobiecej duszy,
Że go surowość ni groźba nie skruszy, —
Nie zna Gulnary, nie wiedział co ona
Czuje, gdy tkliwa, — śmie, gdy obrażona.
Niewiarę mieni krzywdą, ani bada
Sama swych dotąd uczuć dla Konrada.
Zbawca — więc słuszno, że wdzięczność dlań czuje;
Branka — nad losem więźnia się lituje;
Nie śledzi dalej — nie pomna na groźby,
Na niebezpieczne znów się waży proźby.
Znów pogardzone — aż w myślach jej duszy
Wszczął się bój — źródło zbrodni i katuszy.

VI.

Tymczasem długie, tęskne, jednostajne
Dzień i noc przeszły — Konrad trwogi tajne
Zmógł — w strasznej walce wątpień i bojaźni:
Gdy każda chwila zda się chwilą kaźni,
Gdy się krok każdy, co u drzwi rozlega,
Zdaje być krokiem oprawcy lub szpiega,

Kiedy głos każdy co się ozwie w ciszy,
Mniema ostatnim, co przed śmiercią słyszy:
On zmógł to wszystko — mężnie i spokojnie
Dotrwał w najsroższej z sobą samym wojnie.
Gorącość bitwy, groza, wściekłość burzy,
Dręczącą wewnątrz myśl tępi lub nuży:
Lecz być samotnym, wtrąconym w okowy,
Być, czuć się pastwą każdej myśli nowej;
Patrzeć w swe serce, i drżeć, lub przed marą
Zbrodni swych przeszłych, lub przed przyszłą karą:
Tamtych naprawić, tej nie módz odwrócić;
Kląć każdą chwilę, po każdej się smucić; —
Bez przyjaciela, — coby słabość wspierał,
Coby rzekł ludziom, żeś mężnie umierał:
Śród nieprzyjaciół, — co wiesz, że potwarzą
Jak całe życie, śmierć twoję znieważą;
W obec mąk, — które choć duch widzi śmiało,
Nie wiesz, nie zgadniesz jak je zniesie ciało,
A jednak czujesz, że jęk, że łza jedna
Skazi twe męztwo, wrogom tryumf zjedna —
Gdy ci zbyt sroga surowość człowiecza,
Nadziei nawet zbawienia zaprzecza, —

A raj twój ziemski, pewniejszy niż w niebie,
Ta którą kochasz, daleka od ciebie:
Oto są myśli, w których duch Konrada
Miota się, dąsa, ale nie upada:
To są męczarnie które musiał znosić, —
Zniósł — źle czy dobrze? nie uległ — już dosyć.

VII.

Przeszedł dzień pierwszy — on miał być dniem kary;
Zszedł drugi, trzeci, nie widać Gulnary.
Lecz co przyrzekła, stało się — nie wróżył
By w mocy Baszy jutra nawet dożył.]
Idzie dzień czwarty — przeminął, a z nocą
Ciemność i burza przyszły z całą mocą.
O! jak mu luby szum, ryczenie morza,
Gdy zapienione wre u ścian podnoża!
Porwał się, słucha, jakby z wiatry społem
Duch jego bujał nad dzikim żywiołem; —
W takich on nocach, na wzdętych bałwanach
Po rozhukanych latał oceanach,
Zawisał w chmurach, i z dumnym uśmiechem
Spadał w otchłanie, ciesząc się pospiechem. —

Dziś głos tak znany, jak na pośmiewisko
Woła, niestety! próżno, choć tak blizko!
Swiszcząc dmie wicher; po nad dachem domu
Toczy się w chmurach huk ciągłego gromu,
Bucha nań łuna błyskawic tysiąca,
Blask ich dla niego weselszy od słońca;
Wdarł się ku oknu — przez kraty wyciąga
Okute ręce, błaga czy urąga? —
Wzniósł je ku niebu, ku chmurom, i razem
Przyzywa gromu klątwą i żelazem.
Próżno! — kłębami chmura się przewala,
I poszła dalej — ucisza się fala,
Huk coraz słabszy, oddala się, głuszy,
Ustał, ucichło — tęskność w jego duszy.
Uczuł samotność, i serce zatwardził,
Jakby ostatni przyjaciel nim wzgardził.

VIII.

Północ — przed drzwiami usłyszał stąpanie,
Krok lekki — coraz pomknie się, i stanie.
Skrzypła pod kluczem klamka zardzewiona,
„Ona!“ — przeczuło serce — tak, to ona!

Anioł stróż jego! — jakie bądź jej grzechy —
Miła mu, piękna, jak Anioł pociechy.
Lecz dziś w niej zmianę widzi wzrok Konrada,
Krok bardziej drżący, twarz jej bardziej blada:
Spojrzała dziko — w tym wzroku wyczytał
To słowo „umrzesz“ — i o nic nie pytał.
„Tak, dziś masz umrzeć — lecz jest sposób, który —
Który nie gorszy jak pal i tortury —“
— „Ja go nie widzę — umiem znieść cierpienia,
Com rzekł, powtarzam — Konrad się nie zmienia.
Zkąd ta chęć w tobie ocalić zbrodniarza,
Gdy go świat cały potępia, spotwarza,
Gdy, jak bądź srogie ma być ukaranie,
Sam znam, że słusznie, zasłużyłem na nie? —“
— „Zkąd ta chęć we mnie? — ty mię pytasz o to?
Któż mię wybawił, ustrzegł przed sromotą? —
Zkąd ta chęć we mnie! — tak ci więc z mąk długich
Oślepła dusza na uczucia drugich,
Że chcesz bym sama — chociaż wstydem płonę,
Zrywała z serca skromności zasłonę?
Tak jest! — pomimo twych zbrodni, ja czuję
Wielkość twej duszy; dziwię się, lituję,

Kocham cię — nie mów, ja wiem że daremnie,
Że kochasz drugą, że kocha wzajemnie,
Że może czulsza, piękniejsza odemnie.
Lecz gdzież jest? — czemu cierpień twych nie dzieli,
Czemu się na to, co ja, nie ośmieli? —
Gdybym ja była twoją — o tej dobie
Byłbyś już wolny, albo ja przy tobie.
Żona korsarza! samym go wyprawi !
Czemże ta pani ma się w domu bawić? —
Nie marszcz brwi, nie czas gniewać się za słowo,
Gdy miecz na włosie wisi nad twą głową,
Jeźli chcesz działać, jeźliś działać zdolny,
Masz, weź ten sztylet, pójdź, a będziesz wolny!“
— „Mam iść — zaprawdę w brzęczących okowach
Pięknieby stąpał po ich sennych głowach,
Patrz! zapomniałaś widzę o mym stroju.
A z tem narzędziem cóżbym zrobił w boju?“ —
— „Nie ufny człeku! — przekupiłam straże;
Chciwe zapłaty, uczynią co każę.
Dość wyrzec słowo, a więzy twe spadną.
Myślisz że sama przyjść tu mogłam snadno? —
Czas choć był krótki, użyłam go godnie

Na twój ratunek — choć może na zbrodnię. —
Zbrodnię? — nie! — nigdy zbrodnią się nie wyda
Śmierć prześladowcy — pójdź, zabij Seida! —
Cóż to, tyś zadrżał? — zkąd ci ta obawa? —
Jam też niebyła ni dzika, ni krwawa.
Lecz on sam jadem zatruł moję duszę,
Skrzywdził mię, zelżył, — pomszczoną być muszę;
Obwinił o to, czem dotąd gardziłam, —
Tak, choć pod strażą, ja mu wierną byłam.
Śmiej się, ty możesz — on nie miał przyczyny,
Nie! — jam się jeszcze nie czuła do winy.
Chciałam cię zbawić, krwiąbym okupiła,
Lecz nie wiedziałam że to miłość była.
On to rzekł pierwszy — zawistny szyderca!
Sam on myśl zdrady wrzucił mi do serca.
Jám niekochała jego, lecz nikogo
Kochać nieśmiałam — kupił mię, zbyt drogo,
Bo nie kupione serce biło we mnie.
Znosiłam jednak — aż mi sam nikczemnie
Urągać, wmawiać nie zaczął zamiaru,
Żem chciała z tobą ujść podczas pożaru.
To fałsz, wiesz dobrze — lecz wróżby zawiści

Umrzesz jak zbrodzień, cel wzgardy nie żalu.
Słyszałam rozkaz, widziałam zebrany
Lud, rusztowanie, pal już zaciosany.
Reszty nie ujrzę — nie zdołam cię przeżyć.
Korsarzu! trudnoż wznieść dłoń, i uderzyć? —
Rozmyśl się! — miłość, nienawiść, zniewaga,
Twe bezpieczeństwo tej śmierci wymaga.
Bez niej ucieczka na nic się nie przyda,
Ujść nie zdołamy pogoni Seida.
Pójdź, niech go słuszna nie minie zapłata,
Za moje młode, pohańbione lata,
Za krzywdy twoje, za krew braci twojej —
Pójdź, pojdź, raz jeden wszystko zaspokoi.
Co? jeszcze nieśmiesz? — więc ja się odważę —
Ujrzysz, co ręka kobiety dokaże.
Straż przekupiona — wychodź ztąd czem pręcej;
Ujrzym się wolni, albo nigdy więcej —".

IX.

Rzekła — nie czeka, nie chce odpowiedzi,
Znikła — on drżący oczyma ją śledzi.
Wlokący łańcuch w węzeł zebrał w ręku,

By i szedł wolno, i nie wydał brzęku.
Drzwi otworzone, wyszedł — straże zdjęte,
Pusto i ciemno — przejście wązkie, kręte,
Nie wie gdzie idzie, ręką ścian się trzyma,
Blask jakiś mglisty mignął przed oczyma:
Czy światło dzienne? — wierzy i nie wierzy;
Iść czy nie? — poszedł — chłód rzeźwiący, świeży
W twarz mu powionął; — czuje woń poranku.
Wnet na otwartym ujrzał się krużganku,
Odetchnął wolno, spojrzał w koło siebie —
Ostatnie gwiazdy bledniały na niebie,
Wschód się zajmował brzaskiem — w tem z uboczy
Blask, jakby lampy, uderzył go w oczy.
Z samotnej izby blask się ten przeciska,
Drzwi wpół przemknione, wpatruje się zbliska,
Światło jest wewnątrz, lecz przy niem nikogo;
Usłyszał szelest, i cofnął się z trwogą.
Szybkiemi kroki, bielą ochylona,
Postać wybiegła, stanęła — to ona!
Dłoń jej bezbronna, krew szat nie plamiła:
„Dzięki jej sercu, dzięki! — nie zabiła!"
Spogląda na nią — dzikość w jej spojrzeniu,

Błędna, spoziera przy dziennym promieniu.
Stanęła, bacznem nasłuchuje uchem;
Cichość dokoła — konwulsyjnym ruchem
W tył odrzuciła włosy, co po całej
Twarzy i piersiach w nieładzie spadały;
Znać że musiała nachylać się nisko,
Na jakieś straszne patrząc widowisko.
Zwraca się, wzrok jej spotkał się z Konradem;
Cofnął się przed nią — na jej czole bladem,
Nad brwią, nie znaczna, której pewno sama
Dojrzeć nie mogła, jedna mała plama —
Ujrzał jej farbę — mdłość mu wzrok zaćmiła,
Pojął, zgadł wszystko — to kropla krwi była.

X.

Bywał on w bitwach — w niewoli bezbronnej
Czuł blizkie męki śmierci nie uchronnej;
Wykraczał, cierpiał, i jeszcze nie zgadnie
Czy to okucie z rąk jego opadnie:
Lecz nigdy bitwa, niewola, zgryzota,
Która nim kiedy miotała lub miota,
Żadne cierpienie w całej swojej sile

Nie przeraziło, nie wstrzęsło go tyle,
Jako ta plama, ta kropla zbrodnicza —
W niej zgasł mu urok pięknego oblicza.
Widok krwi nie raz męztwo w nim zagrzewał,
Lecz gdy ją w boju mężczyzna przelewał.

XI.

„Stało się! — pójdźmy! — porwał się był z trwogą:
Lecz już się stało! — kosztujesz mi drogo.
Pójdźmy ztąd, pójdźmy! — nie tu czas na słowa —
Patrz, dzień już świta — łódź czeka gotowa.
Kupione straże wnet za mną pospieszą,
Wszyscy chcą z twoją połączyć się rzeszą.
Czyn mój w wolniejszej uniewinnię porze,
Gdy już bezpieczni wypłyniem na morze.

XII.

Klasnęła w dłonie — skryci, niedalecy,
Wbiegli jej słudzy: murzyni i grecy.
Zdjęli okowy na rozkaz władczyni.
Znowu on wolny jak wiatr na pustyni,
Lecz w sercu jego taki smutek cięży,

Jakby z rąk na nie przełożono więzy.
Skinęła, drzwi się otwarły tajemne,
Wiodą ku morzu przez przejścia podziemne.
Wyszli za miasto, przyspieszają biegu,
Gdzie fala szemrząc srebrzy się po brzegu.
Konrad szedł zwolna, nie dba i nie bada
Co go ma spotkać? — swoboda czy zdrada? —
Czuje że opór na nic się nie przyda,
Jak gdyby jeszcze był w mocy Seida.

XIII.

Łódź czeka, wsiedli, rozdęły się żagle,
Pękł sznur; łódź w pianach zaryła się nagle,
I poszła z wiatrem — cieszy się gromada:
Ileż tu smutnych wspomnień dla Konrada!
Dumał sam w sobie; aż głaz nad zatoką
Gdzie wysiadł na ląd, spotkał jego oko.
Ach! od tej nocy, on, choć czas tak krótki,
Wiekowe przeżył trwogi, zbrodnie, smutki; —
I gdy cień głazu posępny, olbrzymi,
Sięgając łodzi, czernił się nad nimi,
On wzrok odwrócił, twarz płaszczem obwinął,

I stał dumając aż ten cień przeminął.
Przypomniał wszystko — Gonzalwa, swą nawę,
Braci swych, tryumf, klęskę, więzy krwawe,
I onę, tkliwą, kochaną jedynie —
Wzniósł wzrok, i ujrzał — Gulnarę, zbojczynię.

XIV.

Długo w milczeniu, poglądała z trwogą
Na odwróconą twarz, zimną i srogą.
Spojrzał — nie zniosła oczu jego mroźnych,
Dzikość jej wzroku zgasła w łzach — zbyt poźnych:
Uklękła przed nim, dłoń łamie w rozpaczy,
„Przebacz mi! — Allah może nie przebaczy;
Aleś ty sądzić powinien łagodniej,
Cóżby się z tobą stało bez mej zbrodni?
Karz mię, gdy zechcesz — lecz ach! nie w tej chwili,
Nie dzisiaj jeszcze! — dziś pozór cię myli.
Nie jestem taką, jakem się być zdała,
Ta noc straszliwa, ta mię obłąkała:
Gdyby nie miłość — niewinnąbym była —
Lecz ty byś nie żył — karz, gdym przewiniła! —“

XV.

Krzywdzi go — siebie a nie ją on winił,
On źródłem zbrodni, choć jej sam nie czynił.
Lecz mroczne, nieme, w duszy tylko na dnie
Krwawią te myśli — któż myśl jego zgadnie? —

Pod lekkim wiatrem pełny żagiel wzdycha,
Mknie łódź swobodna — woda jasna, cicha.
Na widnokręgu z trwogą niespokojną,
Widzą punkt, plamkę, maszt, żagle, łódź zbrojną;
Znać że ich łódkę postrzegła z daleka,
Wszystkie swe żagle z pospiechem nawleka,
Olbrzymia, nakształt morskiego straszydła,
Pędzi, nabiega, nastawiwszy skrzydła,
Półkołem w pianach zarywszy się chyżo,
Iskrzącą ku nim zawróciła spiżą.
Błysnęło — kula świszcząc przeleciała,
Plusnęła w wodę, woda zasyczała.
Porwał się Konrad na znajome echo,
Oczy się jasną zaśmiały pociechą,
„Mój znak, mój okręt, widzę flagę moję,

Jam znów pan morza — i nic się nie boję. —"
Dał znak, poznali; — z okrzykiem weseli,
Spuszczają czółno, i żagle zwinęli.
„To Konrad, Konrad!" — ciżba na pokładzie,
Próżny głos wodzów; w niesfornej gromadzie
Tłoczą się, patrzą, jak z dumną postacią
Wchodzi na okręt, stanął między bracią.
Każdy go wita usty i oczyma,
Dłoń się ich ledwo od uścisku wstrzyma.
On, wpół niepomny swej straty i klęski,
Wita nawzajem jako wódz zwycięzki,
Ścisnął Anzelma dłoń, i znowu czuje
Że może walczyć, i że rozkazuje.

XVI.

Umilkła radość — żal im nie pomału
Że wódz na wolność wrócił bez wystrzału.
Szli szukać zemsty, i gdyby wiedzieli
Że dłoń kobiety spełniła co chcieli,
Cześć jej królewską niosłaby gromada:
Mniej oni trudni, niż duma Konrada,
Wszystkie im drogi dobre, gdy u celu

Łup albo zemsta na nieprzyjacielu.
Kryjąc uśmiechy, z podziwieniem w oku
Szepcą, i ku niej spoglądają z boku;
A ona, wyższa, niższa od płci swojej
Krwi się niebała, ich wzroku się boi,
Milczy, i na dół spuściwszy źrenice
Gęstą zasłonę nawlekła na lice,
Ręce na piersiach złożone z pokorą;
Konrad bezpieczny — w piersiach tych nie gorą
Wściekłość ni trwoga — i co bądź w nich wrzało
Serce kobiety tkliwem pozostało.

XVII.

Pojął to Konrad, i czuł mimo woli
Wstręt dla jej zbrodni, lecz żal dla niedoli.
Co uczyniła, żadna łza nie zmaże,
W dzień gniewu swego niebo ją ukarze,
Lecz już się stało! — on karać nie zdolny.
Wielka jej zbrodnia; lecz on przez nią wolny.
Ona dla niego poświęciła siebie.
Wszystko na ziemi, i wszystko swe w niebie.

Z żalem ku brance spojrzał czarnookiej,
Skroń jej schylona od myśli głębokiej,
Bladość marmuru piękną twarz okrywa,
I tylko jedna ta plama straszliwa,
Krew zabitego, co barwy nie mieni,
Śród tej bladości jeszcze się czerwieni.
Ujął jej rękę, drżała — już za poźno! —
Tak trwożna teraz, mogłaż być tak groźną?
Ścisnął jej rękę, drżała — i dłoń jego
Osłabła, uczuł drżenie głosu swego.
„Gulnaro!“ — milczy — „kochana Gulnaro!“
Podniosła oczy z bojaźnią, z niewiarą,
Wzrok jej rozjaśniał, i jakby zemdlona,
Nagle się w jego rzuciła ramiona.
Gdyby odepchnął — on, jedna opieka —
Byłby coś więcej lub mniej od człowieka.
Pozwolił zostać — i gdyby nie ciemne
Przeczucia serca, straszne, choć tajemne,
Może w tej chwili, ostatnia na ziemi
Cnotaby jego poszła za drugiemi.
Lecz przed nią nawet grzechem się nie stanie,
Jedno tak pięknych ust pocałowanie,

Pierwsze co płochość wykradła wierności;
Jedna nagroda tak wielkiej miłości.

XVIII.

Brzegi swej wyspy ujrzeli o zmroku;
Każda się skała uśmiecha ich oku,
U portu słychać zgiełk, wrzawę stłumioną,
Strażnicze ognie na swych miejscach płoną,
W zatoce szybkie ślizgają się łodzie,
Skacząc delfiny igrają po wodzie;
Krzyk nawet ptastwa co się w krąg rozlega,
Brzmi dla nich wdzięcznie, zwiastowaniem brzega.
Przy każdem świetle chcą dojrzeć postaci,
Każdy swej żony, kochanki lub braci —
Któż tak uczuje wdzięk własnej ustroni,
Jak błędny żeglarz na burzliwej toni?

XIX.

Palą się światła wzdłuż całych wybrzeży,
Lecz Konrad światła nie widzi na wieży.
Dziwią się wszyscy, i patrzą — daremno!
W jednej Medory oknach tylko ciemno;

W nich zwykło jaśnieć powitania hasło,
Może i teraz ścmiło się, nie zgasło.
Rzucił się w łódkę — leniwo zbyt niosła —
Z niecierpliwością pogląda na wiosła,
Ach! onby pragnął sokolemi póry,
Wiatrem zalecieć na wierzchołek góry!
Słabną wioślarze, znużenie ich zoczył,
Nie czeka dłużej, i w morze wyskoczył.
Łamie się z falą, dopłynął do brzegu,
I biegł, na chwilę nie zwalniając biegu,
U drzwi zamkniętych wstrzymał się, i słucha:
Wszystko uśpione, wkoło ciemność głucha.
Puka, i głośno — echo się rozlega,
Nikt nie otwiera, i nikt nie przybiega.
Puka, lecz ścicha — bo dłoń jego drżąca,
Bo w duszy jego myśl przerażająca.
Drzwi się otwarły — lecz przy nich nie ona,
Na której uścisk gotował ramiona.
A sługa milczy — on dwakroć próbował,
Dwakroć chciał spytać, i słów nie znajdował.
Porywa lampę — w pospiechu i trwodze
Z rąk mu wypadła i zgasła przy nodze —

Poszedł w ciemności — lampa tylko druga
Z głębi mrocznego kurytarza mruga.
Rozemknął izbę — wszystko się odkryło,
Co jego serce czuło — nie wierzyło.

XX.

Nie wyszedł, nie padł, nie płakał, wzrok wlepił,
Zimny dreszcz serce ścisnął — nie pokrzepił,
On patrzył, — boleść wzrastała tajemnie, —
Czuł, lecz pomyślić nie śmiał, że daremnie.
Za życia ona piękniejszą nie była.
Śmierć ją jak dziecie do snu utuliła;
Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszym ręku,
Trzyma z ujęciem tak żywego wdzięku,
Iż zda się, żartem utaiła we śnie,
Że jeszcze budzić i płakać zawcześnie.
Śnieżne powieki rzęsami długiemi
Ćmią — myśl się wzdryga na to, co pod niemi —
W oczach się naprzód pastwi śmierć niszcząca,
Gdy duszę z tronu światłości wytrąca,
I promieniste gwiazdy życia gasi!
Choć blask ich jeszcze, jak w niej, usta krasi!

Zda się uśmiechem zmordowane mile,
Pragną spoczynku — lecz tylko na chwilę —
Lecz biała, lekka, przejrzysta zasłona
Żadnym na piersiach tchem nie poruszona;
Lecz włos jej długi, utrefiony, lśniący,
Martwo na śnieżnych ramionach leżący,
Co kiedyś w pasma rozwiany promienne
Wonnością wiatry napawał wiosenne;
Lecz twarz jej blada, nieruchoma postać!... —
Ona umarła! — maż on sam tu zostać? —

XXI.

Nie pytał o nic — cóż nada pytanie?
Umarła, widzi — wie że niepowstanie.
Miłość lat młodych, nadzieja następnych,
Źródło chwil miłych, osłoda posępnych,
Jedyna, którą między żyjącemi,
Nie nienawidził, kochać mógł na ziemi:
Wszystko mu wzięte — on zasłużył na to,
Ach! i tem srożej czuł boleść nad stratą;
Czuł bez pociechy — cnota ulgę znajdzie
Tam, kędy zbrodnia ni dojrzy, ni zajdzie.

Źli, dumni cel swój co tu założyli,
Tracąc go, wszystko tracą w jednej chwili,
Choćby rzecz błahą — lecz wszystko co mieli —
Któż się bez żalu z swem szczęściem rozdzieli?
Nie jedno czoło stoickie i oko,
Maskują tylko ranę zbyt głęboką,
Nie jedna rozpacz stroi się w uśmiechy,
Aby daremnej nie żebrać pociechy,
Na niewetowne straty, albo grzechy. —

XXII.

Któż z tych co czują, wysłowi katusze,
Gdy natłok cierpień zwali się na duszę,
Gdy tysiąc myśli plącze się i miesza,
A wszystkie dręczą, żadna nie pociesza?
Gdy sercem coraz szarpią czucia nowe,
A ból ich ustom odbiera wymowę!
Któż je wysłowi? — Pod takiem brzemieniem
Dusza Konrada łamie się z cierpieniem;
Lecz zda się, czułość straconej na świecie
W serce mu weszła — i płakał jak dziecie.
Słabość to tylko, nie pociecha była,

Wydała boleść, ulgi nie sprawiła.
Nikt łez nie widział — i w tej nawet porze
Przy świadku z serca nie wyszłyby może.
Sam je wnet otarł, — znów długo poglądał:
Wyszedł — pociechy ni szukał, ni żądał.
Czy słońce wejdzie, ciemny mu blask słońca,
Czy noc zapadnie, noc jego bez końca;
Nie ma ciemnoty, jak smutku pomroka,
Nie ma ślepoty, jak ponurość oka,
Co na nic patrzeć nie śmie, i unika,
I idzie w ciemność — nie chcąc przewodnika.

XXIII.

Serce w nim było tkliwe; lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione,
Poszło ku złemu: — czucia były czyste;
Lecz jako rosy krople przezroczyste,
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,
Ścięły się, skrzepły, skamieniały w końcu.
Grom kruszy skały — serce w nim jak skała,
Śmierć je Medory jak piorun strzaskała.
W cieniu się skały jeden kwiat rozwijał,

Cień groźny innym, jemu służył, sprzyjał;
Nadeszła burza — grom zniszczył od razu
Lilii piękność i wytrwałość głazu,
Żadnego liścia niezostało z kwiatu,
By jego życie, śmierć przypomnieć światu;
A strzaskanego głazu zimne szczątki
Leżą — już tylko grobowe pamiątki. —

XXIV.

Ranek — południe — nie widać Konrada —
Samotność jego szanuje gromada.
Poszedł Anzelmo — pusta była wieża,
Wódz znikł — przebiegli wyspę i nadbrzeża,
Noc — jego nie ma — szukali noc całą,
Imie Konrada echa zmordowało,
Góry, doliny, jaskinie przebiegli;
Próżno! — dzień nastał; przy brzegu postrzegli
Zerwany łańcuch, gdzie barka stać zwykła,
Uszedł — z nim piękna niewolnica znikła —
Wzrasta nadzieja; wiatr ten sam co wczora;
Żeglują w pogoń — mylna lub nieskora —
Minęło wiele tygodni, miesięcy,

Konrad nie wrócił — nie powróci więcej, —
Śladu ni wieści, gdzie swój żal tułaczy
Ukrył przed światem, lub zginął z rozpaczy.
Długo się wierna smuciła gromada,
Świetny grób wznieśli kochance Konrada;
Jemu nikt grobu, pomnika nie święci,
Zostało tylko długich lat pamięci
Imie Korsarza, i powieść smucąca
Jedynej cnoty, a zbrodni tysiąca. —

KONIEC.

OBJAŚNIENIA.

Czas w tej powieści mógłby się zdawać za krótkim na wypadki, lecz każda z wysp Egiejskich leży o kilka tylko godzin żeglugi od lądu, a łaskawy czytelnik raczy sobie wyobrazić wiatr taki, jakiego ja nie raz w istocie doznałem.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Str. 25. w 10................ Będziemy oboje
Czytać z Aryosta Olimpiiżale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale.

Orlando furioso. Canto X.

Str. 32. w. 6. Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mleczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.

W nocy, szczególniej pod cieplejszą strefą, za każdem uderzeniem wiosła, za każdem poruszeniem czółna lub okrętu, daje się widzieć pewna mdła jasność, która jak błyskawica z wody wynika.

PIEŚŃ DRUGA.

Słyszałem zarzut, że wejście Konrada przebranego za szpiega jest niezgodne z naturą. Bydź może. — Coś podobnego jednak w historyi znalazłem.

„Chcąc przekonać się własnemi oczyma o sile Wandalów, Majorian przemieniwszy kolor swych włosów, udał się sam do Kartaginy w charakterze własnego posła swojego; i Genserik nie pomału żałował, gdy się potem dowiedział, że podejmował i wypuścił Cesarza Rzymskiego. Zdarzenie to możnaby za zmyślone uważać; ale jest to zmyślenie które tylko w życiu bohatera użyte być mogło.“ (Gibbon).

Że charakter Konrada nie jest całkiem w sprzeczności z naturą, najlepszym tego dowodem są niektóre podobieństwa historyczne, z któremi się już po napisaniu „Korsarza“ spotkałem.

„Eccelin prisonnier, dit Rolandini, s'enfermait dans un silence menaçant; il fixait sur la terre son visage féroce, et ne donnait point d'essor à sa profonde indignation. — De toutes parts cependant les soldats et les peuples accouraient; ils voulaient voir cet homme, jadis si puissant, et la joie universelle éclatait de toutes parts.“

„Eccelin était d'une petite taille; mais tout l'aspect de sa personne, tous ses mouvemens indiquaient un soldat. — Son langage était amer, son déportement superbe — et par son seul regard, il faisait trembler les plus hardis.“ (Sismondi).

„Gizericus (Genserik, król Wandalów, zdobywca Kartaginy i Rzymu) statura mediocris, et equi casu claudicans, animo profundus, sermone rarus, luxuriæ contemptor, ira turbidus, habendi cupidus, ad solicitandas gentes providentissimus“ etc. etc. (Jornandes de Rebus Geticis).

Pozwalam sobie przytoczyć te fakta na usprawiedliwienie mego Korsarza i Giaura.

Str. 36. w. 7. Gdy Almy w środku tańcują wesoło.

Almy — tanecznice.

Str. 40. w. 13. Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem.

Derwisze dzielą się na zakony rozmaitych reguł jak mnisi.

Str. 43. w. 8. I rwąc swą brodę wściekły wybiegł z sali.

Powszechny i wcale nie nowy skutek gniewu Muzułmanów. (Patrz pamiętniki księcia Eugeniusza, na karcie 24). „Seraskier został ranny w udo, i gniewny że z bitwy ustąpić musiał, wyrwał całą swą brodę.“

Str. 45. w. 14. Krótko wódz spojrzał na wdzięki Gulnary.

Gulnara, imie niewieście, znaczy dosłownie: kwiat granatnej jabłoni.

Str. 58. w. 6. I nieraz światu zamiast pożegnania
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania.

N. p. Tomasz Morus na rusztowaniu, i Anna Boleyn w więzieniu, gdy obejmując dłonią swą szyję, zrobiła uwagę: „iż jest za nadto cienka, aby mogła mistrzowi wiele trudu przyczynić.“ — W czasie rewolucyi Francuzkiej stało się prawie modą, aby ginąc pod gilotyną, jakie „bon mot“ po sobie zastawić. I zbiór tych wszystkich dowcipnych słówek, w ciągu całej rewolucyi rzeczonych, utworzyłby bez wątpienia książkę znacznej objętości.

PIEŚŃ TRZECIA.

Str. 65. w. 13. Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi.

Sokrates wypił cykutę nieco przed zachodem słońca (czasem naznaczonym) pomimo próśb uczniów swoich, aby się wstrzymał, nim słońce nie zajdzie.

Str. 66. w 3. Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów etc

Zmrok w Grecyi jest bez porównania krótszy niż u nas — dni są dłuższe w zimie, krótsze zaś w lecie.

Str. 66. w. 14. Letnich kiosków wieżyczki błyszczące etc.

Kioski, są to letnie mieszkania turków — Nurt Cefizu jest w istocie bardzo wązki — a Ilissus wcale bez wody.

Str. 67. w. 3. Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w jasnej uśmiecha pogodzie.

Cała strofa tej pieśni pod n. 1. nie jest tu może na swojem miejscu, i należała do innego poematu, nie ogłoszonego choć drukowanego, i tak była napisana na miejscu, wiosną 1811. — Czytelnik, ja sam wiem ledwo dla czego, musi przebaczyć jeźli może, że ją tutaj znajduje.

Str. 72. w. 2. On licząc niby kaliwa rożańca.

Kambolojo albo rożaniec muzułmański, zawiera ziarn dziewięćdziesiąt dziewięć.

Str. 96. w. 11. Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszym ręku.

Na wschodzie jest zwyczaj rozsypywać kwiaty na ciałach umarłych, i dawać bukiet w ręce młodych osób.

Wiersz ostatni: Jedynej cnoty, a zbrodni tysiąca.

Że uczucie honoru, które jest cechą charakteru Konrada, nie wykracza z granic prawdo podobieństwa, mogłaby tego dowieść niejako następująca historyczna wiadomość o jednym amerykańskim rozbójniku morskim z r. 1814.

Czytelnicy nasi słyszeli bez wątpienia, o wyprawie przeciwko rozbójnikom morskim w Barrataryi; że jednak nie wszyscy mogą być dokładnie uwiadomieni o położeniu, historyi i naturze tego zakładu, kładziemy tu następujące opowiadanie naocznego świadka, spodziewając się że to dla wielu czytelników obojętnem nie będzie.

„Barratarya jest to zatoka, a raczej wązkie długie ramie odnogi mexykańskiej. — Rozciąga się wzdłuż żyżnego lecz bardzo płaskiego kraju, i aż o milę tylko do rzeki Mississipi dochodzi, 15 mil poniżej miasta Nowego Orleanu. Zatoka ta dzieli się na niezliczone gałęzie, w których przed najściślejszem poszukiwaniem, bezpiecznie ukryć się łatwo. Prócz tego ma jeszcze związek z trzema jeziorami leżącemi na południowo zachodnim jej brzegu, i łączącemi się z czwartem, także Barratarya zwanem, które przytyka do morza, i właśnie w miejscu zetknięcia się tworzy wyspę, z dwóch stron temże jeziorem, z resztą morzem oblaną. W r. 1811. wschodni i zachodni brzeg tej wyspy od strony lądu, zostały umocnione warownią przez bandę zbójców morskich, pod dowództwem niejakiego Monsieur La Fitte, niegdyś kapitana w wojsku Napoleona. Banda ta po większej części składała się z tej klassy mieszkańców Luizyany, którzy uciekłszy z wyspy St. Domingo, podczas zamieszań tamże wynikłych, udali

się byli naprzód na wyspę Kuba; lecz wnet z niej, z powodu wojny Francyi z Hiszpanią, wygnani, przybyli nie proszemi do Zjednoczonych Stanów i prawie wszyscy w kraju Luizyany osiedli.

Wyspa Barratarya leży pod 29 stopniem szerokości a 92 długości geograf. słynie zdrowem powietrzem i wielką obfitością ryb wszelkiego rodzaju. Naczelnik bandy, na wzór Karola Moora w tragedyi Szyllera obok wielu występków posiadał niektóre cnoty. W r. 1813 zuchwałość i łupieztwa jego hordy, zwróciły na nią baczność wielkorządcy Luizyany, który aby ją tem łatwiej mógł zniszczyć, pozbawiając wodza, ogłosił 500 dolarów nagrody za głowę Lafita, znanego dobrze mieszkańcom Nowego Orleanu już to przez swoje z nimi związki, już to z powodu, że był niegdyś w tem mieście sławnym nauczycielem sztuki fechtowania. — Na to ogłoszenie wielkorządcy, Lafit odpowiedział wzajemnem, obiecującem 15,000 dolarów za głowę wielkorządcy. Ten naówczas wysłał oddział wojska z rozkazem zdobycia wyspy Lafita, zniszczenia ogniem wszelkiej własności zbójców, i przywiedzenia ich samych do Nowego Orleanu. Oddział ten, pod dowództwem dawnego niegdyś wspólnika i najzaufańszego przyjaciela Lafita, podstąpił pod samą wyspę, nie widząc żywej duszy, ani słysząc żadnego głosu ludzkiego. Lecz nagle usłyszano gwizdnienie, podobne do hasła majtków, i cały oddział, ujrzał się otoczonym przewyższającą siłą zbrojnych ludzi, którzy nań z zasadzki wypadli. W tej okoliczności, nowy Karol Moor, rozwinął szlachetne rysy swego charakteru. Nie tylko bowiem darował życie człowiekowi, który go

zdradził, który na życie jego i na wszystko co mu drogiem było nastawał; lecz nadto ofiarował mu taką summę pieniędzy, iż mu na przystojne aż do śmierci utrzymanie się wystarczyć mogła, i choć ją ów z pogardą odrzucił, bezpiecznie mu do Nowego Orleanu powrócić dozwolił. — Wypadek ten i kilka podobnych, przekonały że wyspa korsarzy od strony lądu nie zdobytą była. — Postanowiono więc uderzyć na nią od morza. Z razu siła morska przy tych brzegach będąca, niebyła dość mocna do tego przedsięwzięcia, i ze stratą przez Lafita odpartą została. — Lecz ściągnąwszy posiłki, ponowiono napad, który się nareszcie zupełnem zniszczeniem bandy korsarzów zakończył. — (Z Gazety Amerykańskiej).

W dykcyonarzu Biograficznym Grangera, kontynuowanym przez Noblego, w życiu Arcybiskupa Blackbourne, znajduje się szczególne miejsce, które ponieważ ma niejaki związek z rzemiosłem bohatera mego poematu, nie mogę oprzeć się pokusie, umieszczenia go tutaj.

„Jest coś tajemniczego w historyi i w charakterze doktora Blackbourne. Pierwsza, nigdy dokładnie znaną nie była; lecz biegały wieści że był niegdyś korsarzem, i że jeden z jego braci w rzemiośle, powróciwszy gdo Anglji rozpytywał się głośno o dawnym swoim towarzyszu Blackbourne, i nie chciał wierzyć gdy mu powiadano że został Arcybiskupem w Yorku. Ta wieść jednakże, zdaje się być tylko bezzasadną potwarzą. Jako Arcybiskup, postępował zawsze z wielką roztropnością, i jako stróż dochodów dyecezalnych na powszechny szacunek zasłużył — wprawdzie szeptano pokątnie, że zachowywał jeszcze wiele

błędów młodości, i że skłonność do płci pięknej trzymała nie ostatnie miejsce w liście jego słabości. — Lecz gdy przy tylu oskarżeniach, o nic istotnie przekonanym nie był, wszystkie te wieści uważam tylko za skutek zawistnej złośliwości. — Bo czyż podobna aby rozbójnik morski mógł być tak uczonym człowiekiem, jakim bez zaprzeczenia był Blackbourne. On który posiadał tak doskonałą znajomość pisarzów starożytnych, mianowicie tragików greckich, iż był w stanie czytać ich z równą łatwością jak Szekspira, musiał poświęcić wiele pracy nauce języków starożytnych, i mieć na to wiele czasu i dobrych nauczycieli. Jakoż nie wątpliwie wiadomo że odbierał wychowanie w Oxfordzie. Przyznawano mu powszechnie że był bardzo w społeczeństwie przyjemnym, z czego nawet zrobiono przeciw niemu zarzut, mówiąc, że więcej serc niż dusz pozyskał. —“

NIEBO I ZIEMIA.

Dramma liryczne

LORDA BYRONA.

JULIANOWI KORSAKOWI

NA PAMIĄTKĘ NIEZMIENNEJ OD DZIECIŃSTWA PRZYJAŹNI

POŚWIĘCAM

A. E. Odyniec.

Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach pisma św. w księgach *Genesis* rozdz. VI.

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki; widząc synowie Boży córki ludzkie iż były piękne, wzięli sobie żony ze wszystkich, które obrali.

„A olbrzymowie byli na ziemi w one dni.

„A widząc Bóg że wiele było złości ludzkiej na ziemi a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas, rzekł: Wygładzę człowieka, któregom stworzył, z oblicznośći ziemi i t. d.“

Poema to liczone słusznie do najcelniejszych utworów owego autora, odznacza się nadto od wszystkich innych dzieł jego, oprócz może „Monfreda,“ osobnym swym stylem i tonem; i to jest, co mię zwłaszcza skłoniło, że je do tłomaczenia wybrałem. Nie wiem jak czytelnicy moi, nawykli zapewne do okrągłego toku wiersza, i śpiewnego odbijania rymów, zniosą w niniejszym przekładzie różną nieco jego budowę, i ciągłe prawie w dyalogu zacieranie się tychże. Nie uprzedzając wcale ich sądu winienem wszakże oświadczyć, iż jedno i drugie uważałem za główny warunek zachowania charakterystycznych cech oryginału.

OSOBY.

RAFAEL. Archanioł.

AZAZIEL, SAMIASA, } Aniołowie.

NOE.

SEM, JAFET, } Synowie jego.

IRAD, przyjaciel Jafeta.

ANAH, AHOLIBAMAH, } siostry, z rodu Kaimitów.

Chór Duchów. — Chór Ludzi.

Rzecz dzieje się przed Potopem.

SCENA I.

Okolica górzysta i leśna w blizkości góry Araratu — Północ.

Wchodzą ANAH I AHOLIBAMAH.

ANAH.

Ojciec nasz usnął; siostro, oto pora,
Gdy kochankowie nasi na obłokach
Zstępują ku nam! — patrz, jak dziś ta góra
Nawisła mgłami: jaki szum w opokach!
Serce mi bije!

AHOLIBAMAH.

Kolej dziś na ciebie,
Zacznij wezwanie.

ANAH.

Siostro, ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też, lecz tylko gdy myślę że w Niebie
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostro moja droga!
Nie wiem dla czego głos się nie ośmiela
Wyjść z piersi moich; niepojęta trwoga
Ziębi mię dreszczem. Wiesz, Azaziela
Jak kocham — siostro! kocham więcej może
Niż kochać wolno — więcej niż — o Boże!
Cóżem rzec chciała? — jaka myśl bezbożna!

AHOLIBAMAH.

W czem jest bezbożność? mła łażby być zdrożna
Miłość Aniołów?

ANAH.

Lecz jest głos co woła
W głębi mej duszy: że mniej kocham Boga,
Odkąd ujrzałam blask jego Anioła.
Nie, to nie dobrze! nie, Aholibamah!
To nie jest dobrze: — i choć często sama
Nie wiem w czem grzeszę, ten strach źle mi wróży.

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużej
Związkiem z duchami? — raz jedno wybieraj!
Jafet cię kocha, kochał od lat wiela,
Idź zań, prządź, pracuj, rodź proch, i umieraj!

ANAH.

Nie! — jednak czuję, że Azaziela,
Choćby był równie śmiertelnym, ja przecie
Równiebym zawsze kochała: — choć lepiej,
Lepiej że nie jest: — nie będę na świecie
Płakała po nim: — jak mię ta myśl krzepi!
I gdy pomyślę że przyjdzie czas, kiedy
On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,
I wiecznie myśleć o mnie będzie: — wtedy
Śmierć traci dla mnie swą postać straszydła,
Chciałabym umrzeć, i tylko drżę o to,
Że końca jego nie będzie rozpaczy,
Że nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą
Trawić się musi wiecznie!

AHOLIBAMAH.

Myśl więc raczej,

Że znajdzie drugą, którą, nim też skona,
Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie!

ANAH.

Niechby tak było, byleby go ona
Kochała wzajem: wolę, niż by po mnie
Płakać miał wiecznie.

AHOLIBAMAH.

Nie pojmuję ciebie,
Gdybym tak miała myśleć o kochanku,
Choćby sto razy był Aniołem w niebie,
Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki —
Lecz spiesz się siostro, czuję woń poranku,
Spiesz się z wezwaniem, dzień już niedaleki!

ANAH.

Serafinie!
W gwiazd krainie,
Gdzie bądź skrzydło twoje wionie:
Czy wespoły
Z Archanioły
Przy wiecznego czuwasz tronie:
Czy w przestrzeni nieskończonej
Jasnych światów miliony

Wiedziesz czy nie:
Serafinie!
Ja cię wzywam, usłysz w niebie,
Pomyśl o mnie — ach! przynamnie;
Żem choć niczem jest dla ciebie,
Tyś Aniele wszystkiem dla mnie!

Ty nie czujesz, ach! i oby
Nikt ich nie czuł, prócz mnie samej,
Tych łez trwogi i żałoby,
Co tu ludzie wylewamy!
Tyś syn chwały, co bez końca,
Twoja piękność: promień słońca,
Istność: duch nieskazitelny,
Nie zrodzony, nieśmiertelny!
Coż równego znajdziesz we mnie,
Prócz miłości, co daremnie
Tłumiąc, czuję że zuchwała;
Jakiej żadna z córek ziemi,
Ni doznała, ni oblała
Jak ja łzami rzewniejszemi?

Tyś stróż tronu Tego, który
Tak cię równie w blask swój odział,
Jak pomiędzy swemi twory
Mnie najlichszej łzy dał w podział.
Cierpię jednak i nie winię
Na me losy, Serafinie!
Bo ty kochasz mię, pocieszysz,
Usłyszysz mię i pospieszysz!
Pospiesz, pospiesz, bo czas płynie,
Mnie nie tobie Serafinie!
Mnie nie tobie chwila droga,
W której sercu grzech i trwoga
W każdej chwili walczyć śmieją,
Z mą miłością i nadzieją!

Lecz przebacz jęk boleści!
Boleść jest żywioł ludzi.
Rozkosz u was się mieści,
Nas tylko sen jej łudzi.
Zstąp, zstąp nim czas upłynie,
Luby mój, Serafinie!
Rzuć gwiazdy, — gwiazdy w niebie

Świecić mogą bez ciebie;
Ja biedna, ja nie mogę
Żyć nawet — łzy i trwogę
Twój chyba wzrok ukoi:
Zstąp, zstąp, niech twe przybycie
Chwilą wieczności twojej
Moje rozjaśni życie!

AHOLIBAMAH.

Samiaso! gdziebądź w górze
Dzierżysz władzę: czy gromami
Zbrojny, toczysz bój z duchami
Nieczystemi, co w oporze
Śmią się mierzyć z Niezrównanym?
Czy za światem obłąkanym
Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni
Za wskazany tór i krańce
Wybiegł, i sam i mieszkańce,
Jak my na śmierć przeznaczeni,
Lecą w przepaść wiecznej zguby? —
Czy to łącząc głos z Cheruby,
Których twoją gasisz krasą,
Śpiewasz Panu co na niebie?

Samiaso!
Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie!
Inni niech ci biją czołem,
Ja nie będę — lecz jeżeli
Dość ci na tem, zstąp i społem
Duch twój z moim los niech dzieli.
Chociam ja córka ziemi,
Ty syn promieni,
Jaśniejszych niż któremi
Wschód się rumieni:
Nie możesz mi nic dać więcej
Prócz uczucia, ni goręcej
Czuć jak czuję ja! — bo we mnie
Jest też promień, choć ukryty,
Lecz zatlony tam, zkąd i ty
Blask swój wziąłeś: — i daremnie
Śmierć, pierwszego grzechu córa
Grozi mi: ja się nie trwożę,
Nie! — czuję w sobie moc, która
Zwalczy śmierć! — śmierć nas nie może
Rozłączyć, bośmy oboje
Nieśmiertelni! — W mojej duszy

Czuję nieśmiertelność moję,
Potężniejszą od katuszy
Wszystkich trosk i cierpień ziemi;
W sercu mem, jak grom daleki,
Głos brzmi słowy proroczemi:
„Będziesz, musisz żyć na wieki!“ —
Lecz czy w szczęściu? — niewiem tego,
Ani chcę badać wyroku,
Co skrył w tajemnic obłoku
Źródła dobrego i złego.
On wie tylko, On co w niebie;
Lecz On sam nawet nie może
Zniszczyć nas: ni mnie ni ciebie.
Nie może — bo dał nam z siebie
To, co wszelką moc przemoże:
Duch swój! — we mnie skazitelnej,
Jak w Nim samym nieśmiertelny!

Z tobą mogę bez bojaźni
Dzielić nawet wieczność kaźni,
Tak! boś ty się mógł ośmielić
Ze śmiertelną życie dzielić.

I choćby mię źmije wkoło
Opasały, choćbyś w źmiję
Ty się zmienił: ja wesoło
Cierpiałabym, i na szyję
Twą upadłszy, sama w sobie
Śród mąk czułabym rozkosze:
Że je za miłość ku tobie,
I razem z tobą ponoszę.

Samiaso! wzywam ciebie,
Czekam cię — lecz jeźli mniemasz
Więcej szczęścia doznać w niebie,
Niż tu sprawisz i otrzymasz,
Zostań!

Anah.

Siostro! patrz do góry!
Co za nagły blask!

Aholibamah.

To oni!
Pół nieba w zorzach się płoni,
Widzę ich, jak po nad chmury
Jasnemi szybują pióry!

ANAH.

Cóż gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH

Pomyśli że wschód księżyca,
Co na klątwę zaklinaczy
Wszedł dziś wcześniej i przyświeca.

ANAH.

Patrz, patrz, już są blizko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Spieszmy! obym skrzydła miała,
Na powietrzu jeszcze z niemi
Spotkać się!

ANAH.

Co za wspaniała
Jasność! jak łona szkarłatu
Nad zachodem gorejąca!
Patrz, nad szczytem Araratu,
Tęcza, jakby z gwiazd tysiąca,
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,
Rozszerza się, jak na fali

Wzruszona z dna morska piana,
Ślad drogi Lewiatana,
Gdy cały wzdłuż roztoczony
Igra sam po wód płaszczyznie,
I w przepaści niezgłębionej
Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnie. —
Lecz patrz, patrz, już coraz w zmierzchu
Ślad ich ćmi się i zagasa,
Patrz, już stoją na skał wierzchu!
Azaziel!

AHOLIBAMAH.

Samiasa!

(wybiegają.)

SCENA II.

Wchodzą IRAD I JAFET.

IRAD.

Nie płacz, bądź mężem! poco między góry
Milczeniem swojem mnożysz ciszę nocy,
Lub tak ku gwiazdom w lepiasz wzrok ponury?
Gwiazdy ci żadnej nie dadzą pomocy.

JAFET.

Tak, lecz mię cieszą. Któż wie czy i ona
Nie patrzy na nie teraz? Mnie się zdaje,
Że każda piękna istota stworzona,
Patrząc na piękność, piękniejszą się staje,
Na wieczną piękność rzeczy nieśmiertelnych.
O moja Anah!

IRAD.

Wszak nie kocha ciebie.

JAFET.

Ach!

IRAD.

Znam ja gorycz uczuć niepodzielnych,
Mnie też jej siostra odpycha od siebie.

JAFET.

Wiem i boleję nad tobą.

IRAD.

Nie bolej,
Jeźli mię ona poświęca swej dumie,
Moja też duma jej wzgardę znieść umie:
Z czasem i na nię przyjść może taż kolej.

JAFET.

Czy się tem cieszysz?

IRAD.

Ni cieszę ni smucę.
Kochałem szczerze, kochałbym był szczerzej,
Gdybym mógł mniemać że wzajem ocucę
Miłość w jej sercu; lecz widząc że mierzy
Wyżej, zostawiam ją jej przeznaczeniu,
W które snać wierząc łudzi siebie sama.

JAFET.

W co wierząc?

IRAD.

Wnoszę, czytam w jej spojrzeniu
Że kocha.

JAFET.

Anah?

IRAD.

Nie, Aholibamah.

JAFET.

Kogo?

IRAD.

Ja nie wiem; znasz czy ją kto zbada.

JAFET.

Anah to chyba kocha Boga w niebie;
O to spokojny jestem.

IRAD.

Cóż ci nada,
Kogo bądź kocha, dosyć że nie ciebie.

JAFET.

Prawda, lecz ja ją kocham.

IRAD.

Jam też kochał.

JAFET.

Jestżeś szczęśliwszym żeś przestał, jak mniemasz?

IRAD.

Czyliż nim byłbym, gdybym jak ty szlochał?

JAFET.

Żałuję ciebie.

IRAD.

Mnie? czemu?

JAFET.

Że nie masz
W sobie już tego, co mnie w rozpacz wprawia.

IRAD.

Dziwnyś! w tych słowach znać szał jej przemawia.
Wierz mi Jafecie, za żadne nagrody
Czuć co ty czujesz nie chciałbym na chwilę;
Nie! choćbyś wszystkie ojca mego trzody
Zważył, i za nie dał mi syklów tyle*),
Owego kruszcu potomków Kaima,
O którym plemię ich tak wiele trzyma,
Że nas chce przezeń wciągnąć w handel z niemi: —
Jakby za podły piasek, wyrzut ziemi,
Za żółty proszek, co trochę migoce,
Warto dać w zamian chleb, wełnę, owoce,
Lub inne rzeczy, któremi nas praca
Rąk naszych, albo natura zbogaca. —
Lecz pojdź Jafecie! dość patrzeć na chmury,
I przeraźliwie wzdychać, jak wilk, który
Patrząc na księżyc całą noc wyć gotów.
Ja idę spocząć.

JAFET.

Szczęśliwy kto może!

Bądź zdrów.

---

*) Waga dawna hebrajska.

IRAD.

Nie wracasz ze mną do namiotów?

JAFET.

Nie — pójdę jeszcze do jaskini w górze,
Przez którą, mówią, że duchy z pod ziemi
Wychodzić zwykły na świat.

IRAD.

Cóż ci do niej?

JAFET.

Miejsce to zgodne z myślami mojemi,
Żal dziki w dzikiej zmniejsza się ustroni.

IRAD.

Ale czyż nie wiesz, jakie o tej dobie
Widma, jak mówią, wstępu do niej strzegą?
Ja pójdę z tobą.

JAFET.

Zostań, dzięki tobie!
Nie mam złych myśli, nie boję się złego.

IRAD.

Ale złe duchy tem więcej ci mogą
Szkodzić, żeś nie jest z niemi. Weź mię z sobą,
Lub zostań ze mną; — nie gardź mą przestrogą.

JAFET.

Nie, sam iść muszę.

IRAD.

A więc pokój z tobą!

(*odchodzi.*)

JAFET (*sam*).

Pokój! — szukałem go gdzie znaleźć mogłem,
W miłości — sercem co jej warte było;
Cóż ztąd? daremnie siły duszy zmogłem,
Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:
Dni nieprzebyte, nieuśpione noce
Oto są całe mych starań owoce! —
Pokój! gdzież pokój? w martwości zniszczenia?
Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia
Stopą nietknięty, innego odgłosu
Nie zna prócz burzy gdy go ta druzgota?
Bo w nich jest wierny obraz mego losu,
Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota. —
Świat zabrnął w zbrodnie; — głuchy na głos Boga,
Nie wie o gniewie jego, ni o zmianach
Strasznych a blizkich; — daremna przestroga
Gróźb i złowieszczych wróżb! — O moja Anah!

Gdy przyjdzie straszna godzina że morze
Jak lew, ryczący wyprze się z łożyska,
I wpadnie na świat: — jakbyś ty w tej porze
Ujść mogła zguby, i po nad zwaliska
Świata, objęciem mojem osłoniona,
Po świat niszczących bujać oceanach!
Świat mój byłby w twem sercu, a obrona
Twoja, w miłości mojej! — Moja Anah!
Gdybyś ty chciała być moją! — Daremnie!
Serc snać i losów nikt zmienić nie może.
I moje wiecznie krwawić musi we mnie,
Teraz i wtedy, gdy już ty... — O Boże!
Nad nią przynajmniej zmiękcz srogość wyroków,
Bo ona czysta pomiędzy grzesznemi,
Czysta jak gwiazda, co choć w mgle obłoków,
Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi. —
O gdybyś była moją! lub przynamnie,
Gdybym cię wolną od twych ojców winy,
Jedną przynajmniej zbawić mógł! — nie dla mnie,
Nie! — byleś żyła, — gdy ocean będzie
Mogiłą ziemi, i tych co dziś żywi
Pchną ją do zguby: — a jego jedyny

Pan i mieszkaniec, niewstrzymany w pędzie,
Nie spotykając ni skał ni mielizny,
Sam Lewijatan z przestrachem się zdziwi,
Nieskończonością swych państw i ojczyzny.
(odchodzi.)

SCENA III.

Wchodzą NOE I SEM.

NOE.

Kędyż jest brat twój Jafet?

SEM.

Wyszedł w pole,
Zejść się, jak mówił, z Iradem... Lecz pewnie
Błądzi, jak co noc, w swem zaklętem kole,
W koło namiotu Anah, kwiląc rzewnie,
Jak ptak nad pustem gniazdem; albo może,
Z czem wiem że nie rad powierzyć się bratu,
Poszedł, jak nieraz, o północnej porze,
Dumać w jaskini śród skał Araratu.

NOE.

Po co on do niej? na całym złym świecie,

To miejsce jest najgorsze; bo w niem duchy
Gorsze od ludzi goszczą. O! Jafecie!
Czemużeś wybrał, na głos ojca głuchy,
Niewiastę, której, choćbyś był kochany,
Pojąćbyś nie mógł? — Ach! serce człowieka!
Gdy syn mój własny, wraz ze mną wybrany,
Znając złość świata i los co go czeka,
Mógł tak daleko zabrnąć i niepomnie!
Pójdźmy go szukać.

SEM.

Ojcze! nie idź dalej!
Ja go sam znajdę.

NOE.

Nie lękaj się o mnie.
Kogo Pan wybrał, nad tym nie uczyni
Nic moc piekielna! — będziem go szukali,
Pójdź!

SEM.

Do obozu siostr?

NOE.

Nie, do jaskini.

(odchodzą.)

SCENA IV.

Góry, jaskinia, skały Araratu.

JAFET (*sam*).

Dzikie pustynie! lochy co się zdacie
Bez dna i granic, i wy dumne góry!
Tak niezachwiane w swych skał majestacie,
I tak wspaniałe w swej krasie ponurej:
W płaszczach z mgły białej, lub w zielonej szacie
Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury
Czołem wiejących! któżby waszej sile
Nie ufał, w wieczne nie zawierzył trwanie?
Przecież za kilka dni, może za chwilę,
Może w tej chwili — cóż z was pozostanie?
Gruz — czcze igrzysko wód, co te otchłanie,
W piekieł aż zda się idące głębiny,
Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie
Miał lew, skaczące naniosą delfiny. —
A ludzie — ludzie! bliźni, bracia moi!
Któż z was zostanie, coby nad szerokim,
Jednym was wszystkich grobem, gdy was w swojej
Głębi pochłonie morze, z łzawem okiem

Wspomniał przynajmniej o was? — Przyjaciele!
Ziomkowie moi! jestżem ja tak wiele
Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie
Przeżyć was muszę wszystkich, ach! i wiecznie
Tęsknić i płakać po was? — O ty świecie!
Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach
Wyjdziesz znów z grobu? Gdzież wtedy będziecie
Miejsca rozkoszne gdziem marzył o Anah,
Gdym się spodziewał serca jej: lub one,
Dzikie, lecz nie mniej miłe mojej duszy,
Jaskinie, lasy, gdziem łzy niedzielone
Lał na jej srogość, lubując w katuszy? —

(*Patrząc ku górze*).

Byćże to może, aby ten szczyt skały,
Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje darły,
Co sam jak gwiazda lśni śród gwiazd, — by wały
W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:
Że jutro może zadziwione słońce
Próżno go jasnem szukać będzie okiem,
By jak dziś, naprzód na jego wysokiem
Czole, zwyciężać noc i jej mgły śpiące:
Lub przed zachodem, wieniec swych promieni

Zawieszać na nim, by nad światem wzbity,
Jak lampa świata świecił się w przestrzeni,
I zstępującym Aniołom swe szczyty
Dzierżył za pierwszy stopień, gdy wysłani
Schodzą na ziemię lub w przepaść otchłani? —
Byćże to może, ażeby te słowa,
Straszne, okropne słowa: „już go nie ma!“
Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,
I wszystkich rzeczy, prócz tych co Jehowa
Rozkazał w arce zbawić ojcu memu? —
Możeż on zbawiać co chce! a jaż czemu
Nie mógłbym zbawić jednej, co bez zmazy,
Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?
Nie miałbym zbawić jej, gdy sprośne płazy,
I zjadłe żmije z towarzyszmi swemi
Ujść mają zguby, by i przyszłą ziemię
Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię
Syczeć, i kąsać, i w grząskich bagniskach
Czołgać się, które na świata zwaliskach
Długo stać będą i dymić, — aż w końcu,
Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy
Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,

Razem mogiła i pomnik grobowy
Świata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle
Miryad żyje, a jutro, za chwilę,
Tyle miryad umrze? — O ty świecie,
Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie
Życia i krasy! jak ja kocham ciebie,
Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,
Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,
I krótkie chwile twoje! — Nie mam mocy
Ratować ciebie, jak i jej nie mogę,
Jej, co najbardziej wiąże mię do ciebie:
Lecz jak syn prochu twego, żal i trwogę
Czuć tylko muszę, jakich od stworzenia
Żaden nie doznał i doznać nie może,
Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia,
Wiem straszną przyszłość, i sam w lada porze,
Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie! —
O Boże! mógłżeś? — ...

(*Łoskot w jaskini i śmiechy. Duch przelatuje.*)

JAFET.

W imie JEGO!

Kto tu?

Duch (*śmieje się.*)

Cha, cha, cha!

Jafet.

W imie Wszechmocnego!
Mów, ktoś jest?

Duch (*śmieje się.*)

Cha, cha!

Jafet.

Przez potop i ziemię,
Co ma być pastwą morza; przez głąb, z której
Morze się wyprze; przez niebo, co brzemię
Chmur swoich zrzuci i zaleje góry;
Przez Tego, który
Stworzył i zniszczy świat ten poziomy;
Ty nieznajomy,
Ty niewidomy,
Duchu nieczysty! mnie nie ustracha
Śmiech twój szyderczy: czego się śmiejesz?

Duch.

Czego łzy lejesz?

JAFET.

Nad ziemią i nad jej dziećmi.

DUCH (*odlatując.*)

Cha, cha, cha!

JAFET.

Jak duch nieczysty urąga z rozpaczy
I żalu mego; jak się cieszy z końca
Nieszczęsnej ziemi, nad którą krąg słońca
Wejdzie, i nigdzie życia nie zobaczy! —
Jak cicho w koło! ziemia spi — i ludzi,
I wszystkie twory sen objął — jak cichy,
Jak snać spokojny! — i może ich łudzi
Długą przyszłością szczęścia, chwały, pychy; —
Cóż gdy się zbudzą i ujrzą śmierć?...

(*Łoskot w jaskini.*)

Kto tu?

Kto? mów! co w nocy czając się zakryciu,
Szepcesz i migasz tylko jak śmierć w życiu?
Mów! bo się twego nie boję łoskotu!

(*Duchy wylatują z jaskini.*)

JAFET.

Co za szum!
Z dołu i z góry,
Co za tłum!
Lecą jak chmury!

CHÓR DUCHÓW.

Radość nam!
Ohydne plemię,
Z rajskich wygnane już bram,
Że dało zwieść się nam,
Że chciało zrównać nam
Mądrością bez naszej mocy:
Traci nynie
I tę ziemię,
I tej nocy
Całe plemię
Zginie, zginie,
Radość nam.
Nie czas ich, nie nędza, nie mór, nie żelazo,
Nie troska po jednym wydusi:
Wszyscy za jedną razą,

Co żyje zginąć musi! —
Świat i lud
W głębi wód,
Dziś ich ostatni wschód!
Cha, cha, tak chce On sam!
Tryumf nam!
Ocean z swoich tam
Wyjdzie i zajmie glób,
Ich świat, ich tron, ich grób,
Jak oni trup!
Cha, cha, będziem słyszeli,
Ich jęk i ryk topieli
Lecącej z wszystkich stron:
Cha, cha, ujrzym ich zgon!
I dzień gdy ich nie będzie,
Śmierć wszędzie!
I nigdzie tchnienia procz wichrów zhukanych,
I nigdzie ruchu prócz fal rozdąsanych,
I nigdzie nawet wierzchołka skał,
By ku nim Anioł zstąpić gdzie miał,
By pomoc dał:
Cha, cha, niechajby chciał!

Lub niechby tam sami z rozpaczą się wdarli
By widzieć co wszędzie
Na ziemi:
By widząc jak drudzy, jak wszyscy wymarli
Przeczuwać co będzie
I z niemi!
Cha, cha mieć będziem dość!
Potop, śmierć, czczość,
To świata gość!
Z południa na północ, z zachodu na wschód,
Nic prócz wód;
Od końca do końca, od dołu do szczytu,
Nic oprócz obłoków i fali błękitu!
Świat barw pstry w różny wzór,
Kwiat łąk, cedr gór,
Dąb i skał zrąb,
Pochłonie głąb!
Któż widząc zgadnie
Co znikło na dnie
W jej toni?
Komu da dociec,
Albo odsłoni,

Ten co sam władnie,
Co będzie po niej:
Świat? złom?
Kto się ośmieli
Na jej topieli
Wznieść dom?

JAFET (*występując.*)

Moj ojciec!
On, z swą rodziną! —
Nie ludzkie plemię,
Źli tylko zginą,
Co każą ziemię:
To Pański sąd.
Słyszycie, precz więc ztąd;
Sprośni szatani,
W przepaść otchłani
Precz w wieczną noc!
W NIM nie w was moc
Karać za grzechy
Świat nasz i nas;
Czcze wasze śmiechy,

Waszej pociechy
Nie přzyszedł czas!
Precz więc precz do swych jam!
Aż was i tam,
Potop dosięże,
I jako węże
Na wierzch wypławi:
Byście noszeni
Wiatrem w przestrzeni,
Czuli moc Pana,
Co starł szatana,
A nas choć skarał — wybawi!

DUCH.

Synu Noego!
Gdy ty z rodziną,
Jedni z całego
Rodu waszego
Ujdziecie żywi
Gdy wszyscy zginą,
Będziecież lepsi albo szczęśliwi?
Nie! nowy świat i ludzie
W grzechu i trudzie

Jak dziś żyć będą: lecz pośledniejsi,
Słabsi i mniejsi
Od tych olbrzymów, co dziś zuchwale,
Dumni w swej chwale,
Depcą tę ziemię:
Aniołów plemię
Z matek ziemianek; — wy ich dziedzice,
Prócz tej różnice,
Weźmiecie tylko po nich — trosk brzemie.
Czyż się nie będziesz rumienić,
Sam jeden na wszystkich grobie,
Jeść, pić, zalecać się, żenić,
I płodzić proch równy sobie?
Z sercem tak nizkiem, z tak bezwstydnem czołem,
Że na sam obraz takiego zniszczenia,
Nie masz dość męztwa ni żalu, by społem
Chcieć zginąć raczej, niż szukać zbawienia!
Któżby chciał przeżyć wszystkich braci swych?
Kto, prócz głupich lub złych?
My nienawidzim was,
Bo ród nasz różny od siebie:
Lecz patrzaj! każdy z nas

Wyrzekł się tronu w niebie,
Raczej, niż żeby obojętny świadek,
Patrząc na braci upadek,
Lękał się z nimi podzielać męczarnie.
Idź nędzny, żyj i giń marnie!
A gdy świat potop ogarnie,
Tak, że ON nawet spojrzawszy na ziemię,
Wezdrgnąć się musi nad woli swej czynem:
Gardź ojcem swoim, że przeżył swe plemię,
I sobą, żeś jego synem!

Chór Duchów (*wylatujących z jaskini*).

Spieszmy się, cieszmy,
Dziś nasz czas!
Śmiertelnik podły
Swojemi modły,
Nie spłoszy nas!
Nie będzie czcił,
Proch, pył!
A my, co nigdy nie czcili
Tego, co tak chce czci,
Zę zwłokę jednej chwili,
Wiecznością kary mści:

My, my obaczym wyparcie się toni
Aż jeden żywioł czynić będzie dzieło
Wszystkich w chaosie; — a oni, a oni,
Czcze zlepki gliny, dumni z swej nicości,
Którym się niebo osiągnąć pragnęło,
Zginą — a wiatrem rozwiane ich kości,
Bielić się będą po mrocznych przepaściach,
Po niedostępnych gór i skał urwiskach,
Gdzie głąb w swych coraz srożejąc napaściach,
Ścigać ich będzie w ostatnich łożyskach;
Gdzie nawet dzikie bestye w popłochu,
Zbędą srogości, jak w pierwszych dniach świata,
I przy jagnięciu tygrys w tymże lochu
Kryjąc się legnie, jakby obok brata,
I zginą razem; — aż znów wszystkie rzeczy
Będą jak były: martwe, niestworzone,
Prócz niebios w górze — którym niech złorzeczy
Ten co zostanie, gdy z nim przymuszone
Zawrze sojusze śmierć; — śmierć co ocali
Tę błahą resztkę dawnego stworzenia,
Na przyszły zasiew żniw swych; — i gdy słońce,
Z osiadłych mułów potopowej fali,

Wypiecze nowy świat; z tego nasienia
Wzejdą dla czasu nowych lat tysiące,
Nowe istoty, i dawne cierpienia,
Zazdrość, nienawiść, praca, i niewola,
Aż póki —

Jafet (*przerywając*).

Przedwieczna Wola
Nie wytłomaczy ludziom snu tego,
Powikłanego dobrego i złego;
I pod wszechmocnej skrzydło opieki,
I wszystkie wieki,
I wszystkie rzeczy,
I ród człowieczy,
Wziąwszy odkupi, — i moc piekielną
Zwalczy na wieki!
I pokutnicy ziemi skruszonej,
Jej pierworodny wdzięk przyrodzony,
Raj nieskończony,
Wróci, z litości nad skazitelną;
Gdzie człek czcząc w sobie duszę nieśmiertelną,
Nie zdoła więcej jak niegdyś przewinić,
Gdzie zły duch nawet musi dobre czynić!

DUCHY.

Cha, cha, i kiedyż to cudo nastąpi?

JAFET.

Gdy Zbawca zstąpi!
Naprzód w ubóstwie,
A potem w chwale.

DUCH.

Tymczasem w mnóstwie
Nędz swych, zuchwale
Klnąc tylko na nie, cierpcie nikczemnie,
Aż świat wasz w proch się rozwieje;
Walczcie z sobą, i z niebem i z piekłem — daremnie,
Aż niebo poczerwienieje
Od krwi dymiącej z waszych bitew pola! —
Zmienią się czasy, rzeczy, kraje, ludy,
Lecz pozostaną bez nowej pociechy,
Też same grzechy,
Łzy, troski, trudy,
Zbrodnie, — i matka ich: wasza zła wola.
Też same burze
Serc, jak w naturze
Wichry i gromy,

Szaleć w was będą; i ten poziomy
Świat wasz i plemię
Pochłoną — jak potop ziemię!

CHÓR DUCHÓW.

Cieszmy się duchy!
Śmiertelny, bądź zdrów!
Słyszym już, słyszym, jak wałów szum głuchy
Wzmaga się, rośnie, jak ryk głodnych lwów.
Wichry jak orły podnoszą swe pióra,
Każda swe źródła napełniła chmura,
W dole i w górze,
Niebo i morze
Otwarły swoje upusty; — a ludzie,
Ślepi, jak byli
Od pierwszej chwili,
Trwają w ułudzie.
Nie widzą znaków złowieszczych, nie słyszą
Co my słyszymy: po nad ziemską ciszą
Gromadzących się gromów; jak z obłoku
W obłok przechodzą, i hasła wyroku
Na wpół zatlone czekają, i drzemią.

Płacz, płacz o Ziemio!
Grób twój jest bliższy, niż niedawna jeszcze
Kolebka twoja! — drżyjcie, o wy góry!
Chwila wybija, gdy morze i deszcze
Szczyt wasz zaleją; — a morskie potwory,
Poziome płazy i konchy ślimaków
Czepiać się będą, gdzie dziś króle ptaków
Gniazda swe ścielą; — o! jakże zakraczą
Z żalem, z rozpaczą,
Spłoszone same i próżno do góry
Zwąc swe pisklęta nieodziane pióry,
I słysząc tylko z ich krzykiem pospołu
Szum fal rosnących; — a człowiek od dołu
Patrzając na nie, zazdrościć im będzie
Skrzydeł szerokich — niezdatnych im na nic:
Bo gdzież je zwiną, kiedy tylko wszędzie
Śmierć i grób: woda, bez dna i bez granic?
Cieszmy się! tryumf nam!
Z przepaści jam
Do chmur,
Radośny wznieśmy chór,
Nad ruiną

Świata tego!
Wszyscy zginą,
Prócz jednego,
Szczepu Seta pokolenia,
Zbawionego od zniszczenia,
Na cierpienia!
Lecz ród Kaima,
Olbrzym w olbrzyma,
Lecz córki jego chlubne urodą,
Zalegać będą martwe pod wodą,
Lub nawznak na niej, z rozpuszczonemi
Włosy długiemi
Martwem obliczem będą się żalić,
Na srogie nieba, co ich ocalić,
Co nie raczyły mieć w swej obronie,
Istot tak nawet pięknych po zgonie.
Darmo! ON, Przeznaczenie,
Co rzekł, nie przeinaczy,
I po ogólnym jęku rozpaczy,
Ogólne śmierci milczenie
Ogarnie ląd.
Nam czas, czas lecieć ztąd!

Świt się już bieli,
Mgły nocne bladną,
Lećmy weseli!
Nim słońce strzeli,
Ujrzym jak zbladli
Iść będą na dno
Wściekłej topieli;
Myśmy upadli,
Oni upadną;
Lećmy weseli!

(Duchy wznoszą się w górę i znikają.)

JAFET (*sam*).

Bóg sam obwieścił przeznaczenie ziemi,
Enoch niem groził w księgach *), których słowa,
Jak gromy w chmurze, grzmią po nad grzesznemi;
I rady ojca mego, i budowa
Arki przymierza, i same złe duchy,
Czyniące z naszych klęsk urągowiska,
Głoszą je światu; — a świat jak był, głuchy,

*) Księgi Enocha, zachowane u Etyopczyków, miane są przez nich za przedpotopowe.

Wprost leci w przepaść; co choć już tak bliska,
Tak nieuchronna, zatwardziałej duszy
Ludzi nie wzrusza, jak ich jęk nie wzruszy
Sprawiedliwości Boga, i wylewu
Wód, spełniających dzieło jego gniewu. —
Jak cicho wkoło! na całej przestrzeni
Nie widać jeszcze żadnych groźnych znaków;
Brzask, jako zwykle, tli się, i rumieni
Chmury, strzegące swoich zwykłych szlaków.
I słońce wkrótce po nad dniem zniszczenia,
Wejdzie, jak weszło w czwartym dniu stworzenia,
Gdy stwórca rzekł mu: „świeć!“ i zaświeciło —
Nie ludziom jeszcze — ale obudziło
Słodszy od głosu ludzkiego, głos ptaków,
Co jak Anioły swobodnemi pióry
Wznoszą się w niebo, i jak oni sami,
Łącząc swe pieśni w napowietrzne chóry,
Dawcę dnia, codzień witają przed nami!
I oto chwila, gdy śród chmur i lasu
Pieśń ich wnet zabrzmi, i jasny krąg słońca
Wejdzie, nie świadom tak blizkiego końca
Istot które ożywia, ani czasu

Który im mierzy! Ptaki z wdzięcznym głosem,
Nucąc, zapadną w głąb bez dna i brzegu;
Słońce po jasnym krótkich dni obiegu, —
Ha! wejdzie znów! lecz nad czem? — nad chaosem,
Co był przed czasem, i dziś przed obliczem
Słońca odrodzon, czas znów czyni niczem.
Bo czas bez życia, cóż jest? nicość, sprzeczność!
Czas dla stworzenia jest tem, czem jest wieczność
Dla stworzyciela, co sam nieskończony!
Wieczność bez Niego stałaby się czczością,
Czas bez człowieka, dla człeka stworzony,
Kona z człowiekiem, — i równie wiecznością
Pochłonion zginie, jako ludzkie plemię
W bezdennej głębi wód chłonących ziemię —
Ktoś idzie? ludzie czy niebieskie duchy?
Jak piękne — twarzy nie widzę — lecz ruchy,
Lecz ich postaci na tle czarnej góry!
Idą w mgle jakby płynęły! — Po sprosnych
Duchach, co wiążąc swe piekielne chory,
Z łez mej boleści, szyderczemi śmiechy
Tryumfowały w urąganiach głośnych,
Widząc ich, czuję jak promień pociechy!

Któż wie czy nawet, — o com razy tyle
Błagał za światem, — czy nie niosą może,
Wyroku łaski, zwłoki choć na chwilę,
Chwilę poprawy i żalu? — O Boże!
To Anah!

SCENA V.

Wchodzą SAMIASA, AZAZIEL, ANAH i AHOLIBAMAH.

ANAH (*postrzegając Jafeta*).

Jafet!

SAMIASA.

Adamita!

AZAZIEL (*do Jafeta*).

Po co,
Zkąd tu przyszedłeś? sam, tak poźną nocą,
Gdy bracia twoi spią wszyscy?

JAFET.

Aniele!
Cóż mi odpowiesz, jeźli wzajem ciebie
Twojemi słowy zapytać ośmielę:
Pocoś jest tutaj, gdyś powinien w niebie?

AZAZIEL.

Cóż to? nie pomnisz, nie wiesz, że w podziele,
Na nas przypadło, mieć w straży twe plemię
I świat?

JAFET.

Nie dzisiaj, gdy występną ziemię,
Nie tylko dobre duchy co ją strzegły,
Ale złe nawet z przestrachem odbiegły,
Wiedząc o strasznych i blizkich jej zmianach.
Wy tylko jedni — Anah moja, Anah!
Tak próżno, chociaż tak długo i stale
Kochana przez mię! pocoś ty tu z niemi,
Gdy żaden dobry duch nie jest na ziemi?

ANAH.

Jafecie! nie śmiem mówić; — ale, ale,
Przebacz mi!

JAFET.

Obyć przebaczono w niebie,
Gdy już przebaczać nie będą nikomu;
Bo w błąd cię wiodą.

AHOLIBAMAH.

Dość, precz ztąd do domu
Dumny proroku! nie chcemy znać ciebie.

JAFET.

Przyjdzie czas może że mię poznasz lepiej,
A siostra twoja pozna jakim byłem
Dla niej i dla was; — gdy głusi i ślepi
Posłyszą, ujrzą, pojmą co mówiłem.

SAMIASA.

Słuchaj mię synu patryarchy, który
Czysty był zawsze przed Bogiem! zkąd w tobie
Gniew jakby ku nam i żal tak ponury?
Czemeśmy mogli, ja lub on w tej dobie
Krzywdę ci zrobić?

JAFET.

Krzywdę! ach i jaką!
Ale nie! — czuję, że choć równie ze mną
Stworzona, równie śmiertelna: wszelako
Nie wart jej byłem, i nigdy wzajemną
Miećbym jej nie mógł. — Anah! bywaj zdrowa!
Nie raz z ust moich słyszałaś te słowa,

Lecz dziś ostatni raz słyszysz. — Anieli,
Lub kto bądź kolwiek jesteście! o jedno
Pytam was tylko, czy będziecie chcieli,
Czy macie władzę, przed zgubą niezbędną,
Zbawić ją — zbawić obie?

AZAZIEL.

Jaką zgubą?

JAFET.

Cóż to? nie wiecie? czyliżbyście mieli
Dzieląc grzech z ludźmi, dzielić też ich grubą
Ślepotę i jej karę? lub przynamnie
Smutek mój?

SAMIASA.

Smutek? Mógłżem wróżyć sobie,
By proch miał mówić zagadkami dla mnie?

JAFET.

Jeźli ich Pan twój nie rozwiązał tobie,
Biada wam, i im z wami!

AHOLIBAMAH.

Niech tak będzie!
Jeźli kochają tak jak są kochani,

W nas znajdą niebo, byle z nami wszędzie,
Jak my je z nimi znajdziem choć w otchłani.

ANAH.

Ach, siostro, siostro, nie mów tak!

AZAZIEL.

Dla czego?
Boisz się przy mnie?

ANAH.

Ach, o ciebie tylko!
Bo chętnie resztę szczęścia śmiertelnego,
I życia oddam, byle smutną chwilką
Nie zaćmić nigdy twej wieczności koła!

JAFET.

Toż więc dla niego? tak jest, dla Anioła,
Zrzekłaś się, widzę, serca Adamity!
Ale to mniejsza! — byleby on i ty
Wzajem dla siebie nie zrzekli się Boga,
Przed którym związki duchów z śmiertelnemi
Nie znajdą łaski; bo cel nasz i droga
Różne są od ich: — nam praca na ziemi
I śmierć, im niebios gwiazdziste pobyty,

Rozkosz i wieczność: — biadaż jeźli niemi
Wzgardzą dla prochu, a proch w dumę wzbity,
Dla nich, zalśniony promieniem ich czoła,
Zapomni Boga! — Lecz jeźli cię może
Anioł ten zbawić, zostań z nim w tej porze,
Gdy moc niebieska chyba zbawić zdoła.

Anah.

Ach! on nam wróży śmierć!

Samiasa.

Śmierć? nam śmierć wróżyć,
Lub tym co z nami? Gdyby nie łzy twoje,
Śmiertelny! śmiać się musiałbym nie trwożyć.

Jafet.

Śmiej się! o siebie ja też się nie boję,
Ani nad sobą płaczę: jam bezpieczny;
Nie dla mych zasług, lecz dla cnót rodzica,
Co prosty w drogach życia, i stateczny
W wierze przed Panem, sprawił, że prawica
Jego dziś z nami. Lecz oby nam dano
Moc zbawiać drugich! lub gdybym zamianą
Życia mojego za jej, która sama

Wiąże mię tylko do życia — mógł dla niej,
Najniewinniejszej z wszystkich cór Adama,
Okupić miejsce w arce, gdy wybrani
Synowie Seta wejdą w nię.

AHOLIBAMAH.

Zuchwały!
Toż więc śmiesz mniemać, że my, krew Kaima,
Pierworodnego w raju; że my córy
Takiego ojca, że mybyśmy chciały
Mieszać się z wami? ze krwią Seta, który,
Ostatni owoc skrzepłej krwi rodziców,
Dziedzic ich tylko tułactwa i hory,
Tak z ojcem naszym nic wspólnego nie ma,
Jak raj z tym światem: jak wdzięk naszych liców
Z wdziękiem cór waszych: albo jak postaci
Młodzieńców naszych, z wzrostem twoich braci?
Nie! nigdy, nigdy! chociażby od tego
Zależeć miało ocalenie świata; —
Ród nasz był zawsze zdala od waszego,
Wszystko nas dzieli, — strach pewno nie z brata.

JAFET.

Aholibamah! przecz się wzruszasz gniewem?
Nie z tobą mówię. Zbyt wiele z Kaima
Wzięłaś z krwią jego, coć tak w pychę wzdyma,
Jakby ją wsławił bratniej krwi rozlewem.
Ale ty moja Anah! — zwę cię moją
Choć nią nie jesteś — ach! bo z tym wyrazem,
Rozstać się wtedy, gdy i z tobą razem
Rozstać się muszę — nie śmiem; — lecz na twoją
Litość się spuszczam, że mi to przebaczy.
O moja Anah! ty, którąby raczej
Zwać córką Abla; takeś nie podobna
Do cór Kaima; chyba że nadobna
Licem jak one!

AHOLIBAMAH.

Dość niewczesnej mowy!
Chcesz jak wąż w raju, pochlebnemi słowy,
Przelać w jej duszę jad co płonie w twojej.
Ja, gdybym miała podzielać twe zdanie,
Gdybym myślała że w niej, siostrze mojej,
Jest coś z krwi Abla — lecz precz ztąd szatanie!
Kusisz mię! — kłótni szuka twoja zawiść.

JAFET.

Córko Kaima! zazdrość i nienawiść
Kaim wszczął pierwszy.

AHOLIBAMAH.

Kaim nie był wrogiem
Ojca twojego, nie zabił mu synów;
Przecz chcesz być sędzią innych jego czynów,
Które są tylko między nim a Bogiem?

JAFET.

Prawda! zbłądziłem; Pan go sądzić będzie.
Anibym mówiąc wspomniał że przewinił,
Gdybyś się sama w gniewnych słów zapędzie,
Nie zdała chełpić z czynu co uczynił;
A nawet. —

AHOLIBAMAH.

On jest ojcem ojca mego,
Syn pierworodny sił ludzkiej natury,
Przed jej upadkiem; — miałażbym się jego
Wstydzić, lub zaprzeć rodu mego, który,
Wszystko czem słynie po nim odziedziczył?
Patrz, któż śmie z nami stanąć w porównanie,

Z pięknością w twarzach, z wzniosłością w postaciach,
Z długością naszych dni?

JAFET.

Pan je policzył!

AHOLIBAMAH.

Niech i tak będzie! lecz póki ich stanie,
Pysznić się będę w ojcu mym i braciach.

JAFET.

Ród Seta w Bogu tylko szuka chluby.
A ty, o Anah!

ANAH.

Co bądź Bóg przeznaczy,
Bóg jeden nad wszystkiemi, — wiem że trzeba
Znieść bez szemrania, bodaj bez rozpaczy!
Lecz gdybym mogła, w dniu powszechnej zguby,
Co ma przyjść mówisz, prosić o co nieba:
Jedyną prośbą byłoby, bym sama
Nie pozostała w życiu, gdy nikomu
Z mego plemienia, rodziny i domu,
Pan nie przepuści. O Aholibamah!
Cożby był dla mnie świat, lub inne światy,
Lub sama wieczność, bez miłej przeszłości, —

Bez ciebie, ojca, bez waszej miłości,
I bez tych wszystkich rzeczy, co jak kwiaty,
Rozkoszną ziemię stroiły przedemną;
Albo jak gwiazdy świecące w noc ciemną,
Ciągnęły oczy by w niebo spozierać?
Ach! jeźli dla nas niebo nie z kamienia,
Siostro! proś, módl się, błagaj przebaczenia:
Śmierć tak jest straszna, gdy ty masz umierać!

AHOLIBAMAH.

Cóż to? czyż słowa płonnych marzycieli,
Co swoją arką siebie tylko straszą,
Zachwiały ciebie? Patrz, czyż nie Anieli
Czuwają przy nas, dzielą miłość naszą?
A nawet bez nich, czyżby już innego
Nie było środka, jak u stóp Noego
Żebrzeć o życie? wolałabym raczej —
Lecz po co wznawiać dzikie jego mary,
Twór niewzajemnych uczuć i rozpaczy,
Albo wyziewów tej mrocznej pieczary?
Patrz, któżby z posad wzruszył te opoki,
Tę całą ziemię? albo te obłoki

W ocean zmienił? albo z ziemi morze
Podniósł ku niebu? Patrz, zważ, kto to może?

JAFET.

Ten, co to wszystko jednem słowem stworzył.

AHOLIBAMAH.

Kto słyszał słowo te?

JAFET.

Świat, co niem ożył.
Śmiejesz się? spytaj twojego obrońcy,
Jeźli jest Anioł, stwierdzi prawdę Jego.

SAMIASA.

Aholibamah! Bóg jest wszechmogący!

AHOLIBAMAH.

Jam zawsze czciła Boga, stwórcę mego,
Boga miłości nie smutku.

JAFET.

Niestety!
Czyż miłość sama nie jest także smutkiem? -
Nie tylko miłość męża i kobiety,
Trwająca krótko w życiu naszem krótkiem:
Lecz sam Przedwieczny, gdy w łonie miłości
Swojej świat począł, czyż nie miał przyczyny

Smucić się wkrótce, gdy na jego syny
Wzniósł, bo wznieść musiał, miecz sprawiedliwości?

AHOLIBAMAH.

Tak powiadają.

JAFET.

Tak jest bez wątpienia.

SCENA VI.

CIŻ, i NOE i SEM.

NOE.

Tużeś Jafecie! i w jakiej potrzebie,
Przebywasz społem z dziećmi zatracenia?
Drżyj, by ich wyrok nie dosiągł i ciebie.

JAFET.

Ojcze! czyż grzechem byłyby me chęci,
By dźwignąć z grzechu dzieci wspólnej ziemi?
Patrz, nie chodziły między występnemi,
Kiedy je strzegą Aniołowie święci.

NOE.

Święci? czy raczej nie z tych, co swe chory,
I jasny niebios rzuciwszy przybytek,

Schodzą, zwabieni licem Kaimitek,
Synowie niebios pojąć ziemi córy?

SAMIASA.

Tyś rzekł.

NOE.

O biada! biada, trzykroć biada,
Podobnym związkom! Czyż Bóg nie zakreślił
Granic niebu i ziemi? nie obmyślił
Ludziom i duchom, gdzie którym posada?

SAMIASA.

Tak! ale czyliż nie na obraz siebie
Stworzył człowieka? czyż go nie miłuje
Sam, i nie każe drugim? — pytam ciebie,
Możeż być winnym kto go naśladuje?

NOE.

Jam tylko człowiek; Pan mię nie postawił
Sędzią nad ludźmi, cóż nad syny swemi!
A wszakoż z tego co mi sam objawił,
Wiem, że te zejścia na padoły ziemi
Duchów niebieskich, i to jeszcze w chwili
Skarania świata, nie są dobrem wcale.

AZAZIEL.

Co? nawet wtedy, gdybyśmy zstąpili
Zbawiać?

NOE.

Archanioł w całej swojej chwale,
Nie zbawi, kogo Pan zgubić umyśli.
A zaś, gdybyście za Jego rozkazem,
Jako snać mówisz, ludzi zbawiać przyśli:
Litośćby wszystkie objęła zarazem,
Nie te dwie tylko; co choć niezrównane
Licem, są równie grzeszne, i skazane
Na śmierć.

JAFET.

Ach! ojcze, nie mów tak!

NOE.

Jafecie!
Jeźli cię trwożą wina i zatrata,
Zapomnij o nich — o nich i o świecie,
Że był i zginął; — ty, przyszłego świata
Dziedzic wybrany!

JAFET.

Obym zginąć raczej
Mógł z *tym* i z *temi.*

NOE.

Wartbyś za to słowo;
Lecz Pan obietnic swych nie przeinaczy.

SAMIASA.

Przeczżeby nad twą i nad jego głową
Bóg czuwał więcej, niż nad temi, które,
On, syn twój własny, przenosi nad siebie?

NOE.

Zapytaj TEGO, który twą naturę
Uczynił wyższą od mojej, a ciebie
Wyższym odemnie: a zarówno obu
Poddał swej woli, i nie dał sposobu
Zbadać jej przyczyn! Lecz patrz, goniec Jego!
W proch, w proch przed Panem! Słuchajmy co powie.

SCENA VII.

CIŻ i RAFAEL ARCHANIOŁ.

RAFAEL.

Pokój sprawiedliwemu! Aniołowie!
Przeczżeście zeszli z oczu Przedwiecznego?
Aza nie wiecie, że ziemia bez stróża
Ma dziś być przed NIM? Lecz jeszcze czas skruchy!

Wam tylko duchy,
Wam tylko dany; — wielka jest moc Boża!
Tam u podnoża
Stolicy jego, ukorzcie się społem
Z Siedmiu wielkimi! czołem Panu, czołem!

SAMIASA.

O najpiękniejszy, największy z niewielu,
Cześć Panu w tobie! Lecz odkądże wzbronił
Duchom zstępować na świat? Rafaelu!
Tyś zstąpił po nas; ON sam czyż nie skłonił
Nie raz oblicza i stóp swych ku ziemi?
A ile razy skrzydły pośpiesznemi
Nas wysłał ku niej, mów, cóżeśmy, jeźli
Nie miłość Jego i nie dary nieźli,
Wielbiąc GO w każdym jej tworze, bo każdy
Tchnął Jego mocą i miłością dla niej;
Ciesząc się blaskiem tej najmłodszej gwiazdy,
Mającej kiedyś zwalczyć noc otchłani;
Lub strzegąc aby ród co ją dziedziczy,
Nie ćmił jej światła łaski tajemniczej?
Cóż dziś, że smutek nad nią w twem spojrzeniu,
Że w ustach twoich mowa o zniszczeniu?

RAFAEL.

Biada wam że nie wiecie! O Anieli!
Gdybyście oba z pobratniemi chory,
Czystością śmieli,
Nieśli dziś Panu hołd czci i pokory:
Tambyście w ogniu żyjącym wyryte,
Nad jego tronem, i na jego czole,
Czytali sami sądy jego skryte,
Pojęli wolę;
Nie jej szukali we słów moich echu.
Lecz niewiadomość towarzyszka grzechu,
A dumą nawet ćmi się duchów wiedza:
Bo zaślepienie upadek poprzedza.
O zaślepieni! przeczżeście się dali
Uwikłać w sidła żądzy skazitelnej?
Niepokalani! jakżeście skalali
U stóp śmiertelnych swój blask nieśmiertelny!
Lecz litość jego bez granic — słyszycie!
Wróćcie i czcijcie!
Tam! — bo gniew Jego straszliwy. — Raz jeszcze,
Wróćcie, lub drżyjcie!
Bo gniewu Jego wyrok wam obwieszczę.

AZAZIEL.

Straszny gniew Pana! lecz ty, coś osądził
Nas, żeśmy winni; mów, czyżeś nie zbłądził
Sam, żeś jest z nami?

RAFAEL.

Pan mną rozporządził;
Zstąpiłem po was. Słowem wszechmogącem
I w imie Jego; sercem kochającem
W imie miłości mojej, Samiaso!
Azazielu! wołam was ku Niemu!
Tak, przyszedł koniec rodzajowi złemu;
Występna ziemia z całą swoją krasą,
I z ludźmi, zginie. — Lecz czyż przy ostatku,
Jak przy początku, ma jakby koniecznie,
Niebieskie duchy ciągnąć do upadku,
Których jak istność, kaźń musi trwać wiecznie?
O bracia! wyście jeszcze nie upadli,
Lecz przypomnijcie Szatana, jak w chwale
Stał po nad nami; a którzyż nie zbladli
Widząc czem stał się, gdy wołał zuchwale
Wyzwać moc Pańską, niż uznać w pokorze?
A czyż mu człowiek, że go łatwo skusi,

Rozkoszą złego nagrodzić dziś może
Niebo, co stracił, i pamiętać musi? —
Jam go miłował; — bo i któż nad niego
Był oprócz Pana, co w nim szukał chluby?
Archaniołowie przed obliczem jego
Gaśli jak gwiazdy przed słońcem; Cheruby
Cześć mu śpiewali; aż sam w swojej pysze,
Wstydząc się, zaparł, że jest tworem Boga.
Stało się! upadł — lecz wam towarzysze,
Z upadku jego niech będzie przestroga!
Od was zawisa wieczność z nim, lub z Panem. —
On was nie kusił; bo mu nie jest danem
Kusić niebieskie duchy; — lecz niestety!
Człowiek usłuchał jego, wy kobiety;
Pięknej zaprawdę, lecz w której uśmiechu
Kryje się urok zdradniejszy od węża;
Bo wąż zwyciężył proch, ona zwycięża
Was, duchy niebios, i wiedzie do grzechu.
O! uciekajcie, dopóki czas macie!
Wy nie możecie umrzeć, ale one
Jak cień przeminą; a żal po ich stracie
Truć będzie wasze lata nieskończone.

Zważcie jak istność wasza ich plemieniu
Nie jest podobna w niczem — prócz w cierpieniu;
Przeczże je tylko chcecie dzielić z niemi?
Poczęte w grzechu, w boleściach zrodzone,
Żyjące w troskach i łzach, przeznaczone
Na pastwę śmierci, — królowej ich ziemi:
Chociażby nawet Pan, tchem swego gniewu
Dni ich nie skrócił, przeszłyby za chwilę,
Jak nagły zakręt mglistego powiewu,
Proch i łzy tylko zostawując w tyle.

AHOLIBAMAH

O tak! uchodźcie! bo jak w jego mowie,
Słyszę w mej duszy głos, co nie omyla,
Że blizka chwila
Sądu; że umrzem nie tak jak ojcowie!
Gdy jako nowy ocean, chmur brzemię
Spadnie na ziemię,
A wały morskie, jak obłoki z ziemi
Wzniosą się w górę, i spotkają z niemi. —
O siostro moja! są co ujdą zguby,
Jako się zdaje; lecz nie z krwi Kaima.
Nie! próżne nasze modlitwy i śluby,

Bóg nas Adama za dzieci swe nie ma!
Po cóż go trudzić daremnie? O! raczej,
Zrzeczmy się same, co ma bądź wydarte:
Miłości naszej; — a bez niej cóż znaczy
Życie śmiertelne lub śmierć? — gińmy warte
Ojca i rodu swego; bez rozpaczy,
Gdy nie bez żalu; płacząc nie nad sobą,
Lecz po nad tymi, co zostawszy sami,
Śmiertelni czy nieśmiertelni, obaczą
Ziemię — pustynię, okrytą żałobą,
I płakać będą nad miryadami,
Co mrąc płakały — lecz już nie zapłaczą.
O Samiaso! spiesz, uchodź co prędzej,
Z padołu nędzy
W sfery niebieskie, gdzie już nie dosięga
Wicher, ni woda, ni śmierci potęga.
Nasz wyrok, umrzeć, wasz, jest żyć bez końca;
Lecz co lepszego, czy wieczność żyjąca
Czy martwa: na to On chyba odpowie,
Dawca życia i śmierci. — Aniołowie!
Bądźcie posłuszni jak i my będziemy;
Nie że musiemy,

Nie! lecz że nie chcę żyć dnia ni godziny
W brew woli Jego; tak, jakbym nie chciała,
Nawet za wolność od kary i winy,
Co ma być dana dla Seta rodziny,
By kara nasza i na was spaść miała.
Spieszcie, nim minie czas!
Lecz gdy nad chmury
Jasnemi póry
Wzbici, spojrzycie
Na świat i nas:
O Samiaso! pomnij że me życie
Duch mój przeżyje; i gdziekolwiek będzie
Żył swoję wieczność, miłość twoja wszędzie
Trzymać go będzie wyższym nad rozpacze.
Patrz, nawet teraz nie płaczę!
Bo płacz nie przystał wybranej Anioła.
Żegnam was! —
Teraz przyjdź Śmierci! dotrzymam ci czoła.

Anah.

Ach! czyż koniecznie trzeba
Umrzeć? Azazielu!
Nicże nie zmiękczy nieba?

Umrzeć, i stracić ciebie —.
Siostro! czyż Bóg nasz w niebie
Zgubi razem tak wielu?
O! serce, serce moje!
Nie próżne snać twe były
Trwogi i niepokoje;
Teraz wiem co wróżyły.
Boże! dodaj mi siły
Znieść, co wiem że nie minie:
Lecz ty, ty Serafinie,
Uchodź, spiesz, jeźli bezkarnie
Zostać nie możesz! — Lecz czyli? —
Nie, nie, spiesz! moje męczarnie,
Choć straszne, skończą się w chwili,
Twoje trwałyby bez końca:
Gdybyś mię nędznej obrońca,
Gniew Pana ściągnął na siebie;
I z tronu chwały na niebie,
Jak ów, co w nasze rodzice
Tchnął żądzę wiedzy, wyzuty,
Z swej Archanielskiej stolice,
Spadł w kraj nieznanej pokuty.

Nie, nie! i tak już zbyt wiele
Ważyłeś dla mnie Aniele,
Abym ofiarą wzajemną,
Zrzekła się ciebie dla ciebie. —
Uciekaj, nie płacz nademną, —
Ach! nawet chciałbyś daremno!
Łzy, udział dzieci Adama,
Nie ulżą duchów rozpaczy —
Uchodź, zapomnij więc raczej,
O tej, dla której śmierć sama,
Mniej straszna niż to rozstanie!
Lecz uchodź, uchodź, nie zwlekaj,
Nie bacz łez moich, uciekaj!
Bez ciebie, śmierć mi się stanie
Ulgą nie karą.

JAFET.

Nie mów tego Anah!
Ojcze mój! Archaniele!
Czyż ten łagodny pokój na twem czele
Nie wróży łaski? Patrz, możesz, zmiękcz dla niej,
Dla niej i dla mnie zmiękcz wyrok i sędzię:

Niech w arce z nami ujdzie wód otchłani,
Lub ja z nią razem niech zginę w bałwanach!

NOE.

Przestań niebaczny! przecz w żalu zapędzie,
Jeźli nie sercem, usty bluźnisz Pana?
Zkąd ci moc dana
Sądzić sąd Jego? Żyj póki dozwoli,
Umrzyj gdy każe; lecz w brew Jego woli
Nie szemrz, jakobyś skarżył Pana w niebie.
Niebaczny! chceszże by się Bóg dla ciebie
Grzechu dopuścił? — bo grzechem byłoby,
Gdyby dla krótkiej, dla ziemskiej żałoby,
Zmieniał przedwieczne sądy swoje Boże.
Bądź mężem, synu, i znoś, chocia boli,
Co ród Adama znieść musi — i może.

JAFET.

Ojcze! a kiedyż zostaniem,
Sami nad głębią siną,
Gdy i kraj miły co był nam mieszkaniem,
I cała ziemia, z wszystkiem co ją krasi,
I milsi stokroć bliźni, bracia nasi,
Wszyscy w niej zginą:

Kto wstrzyma wtedy łzy swe i jęczenia,
Lub znajdzie pokój w ciszy spustoszenia?
Boże! bądź Bogiem! zbaw, któż ci zaprzeczy,
Zbaw póki pora! Czyż rodzaj człowieczy
Nie dość już poczuł sprawiedliwość twoję
Wygnaniem z raju? Lecz go tylko dwoje
Składało wtedy; dziś jest na przestworzu
Ziemi liczniejszy, niż fale na morzu,
Niż krople deszczu, co ma zalać ziemię:
Krople mniej gęste, niżby na niej były
Ludzkie mogiły,
Gdyby choć groby mieć mogło ich plemię.

Noe.

Szalony, przestań! w każdem twojem słowie
Brzmi rozpacz dumy, co gniew Pana budzi.
O Archaniele, przebacz!

Rafael.

Aniołowie!
Żal i namiętność mówi z ust tych ludzi.
Lecz wy, wy czyści, lub coście być niemi
Powinni, bracia! postrzeżcie się w błędzie,
Wracajcie ze mną!

SAMIASA.

Zostaniem na ziemi,
I znosić będziem cośmy zasłużyli.

RAFAEL.

Azazielu?

AZAZIEL.

On rzekł; niech tak będzie!

RAFAEL.

Oba? — A więc od tej chwili
Z mocy niebieskiej obrani,
Z miejsc któremiście wzgardzili
Z przed Boga coście zdradzili,
Bądźcie wygnani!
Biada wam!

JAFET.

Gdzież się podzieją?
Lecz przebóg! w przepaściach góry.
Co za ponury,
Co za straszliwy szum, łoskot, hałasy?
Skały i lasy
Wstrzęsły się, szumią, jakby czuły przyjście
Wichrów łamiących, choć jeszcze nie wieją;

A wszystkie liście
Drżą zda się, chwieją,
Kwiaty więdnieją
I opadają; wschód znów się zaciemia;
A cała ziemia,
Jak pod ciężarem jęczy w swych wnętrznościach

NOE.

Słyszysz; krzyk ptastwa morskiego! jak w chmury
Ucieka, i nad szczyt góry,
Kędy w najsroższych morza nawałnościach,
Uchodząc fali wzbijać się nie śmiało,
Ulata krzycząc: jakby przeczuwało
Nawałność sroższą od wszystkich, śród której,
Ten szczyt im tylko być może zachroną,
Aż i ten fale pochłoną.
O biada, biada ziemi!

JAFET.

Słońce! słońce!
Wschodzi, lecz jakie! jak przerażające,
Jak krwawe! — Jak śród płomieni
Miedź, błyszczy, lecz bez promieni;
A ciemność, jak czarna tęcza,

W kształcie obręcza.
W krąg je otacza; — słońce i noc razem!
Jakby obrazem
Być chciały życia i śmierci, w tej chwili,
Ostatniej świata! — Biada tym, co byli
Warci, by jej dożyli,
By ją przeżyli!

NOE.

Ha! błyskawica, grom, hasło zniszczenia!
Stało się, Pan nie odmienia
Wyroków swoich: wielka jest moc Boża!
Słyszysz? szum deszczu, ryk morza;
O! biada, biada dzieciom zatracenia!
Przyszła godzina. — My spieszmy na wzgórza,
Gdzie arka nasza; — z której jeszcze wczora
Szydzili dumni, a dziś k'niej ramiona
Wyciągać będą, widząc że nas ona
Zbawia jedynie; — spieszmy, póki pora!

JAFET.

Ojcze! stój chwilę, zlituj się, przyjm do niej
Anah; niech w zgubnej nie zaginie toni.

NOE.

Czyż w niej nie zginą wszyscy? pójdź!

JAFET.

Nie mogę.

NOE.

A więc giń z niemi, głuchy na przestrogę
Ojca i Boga! Patrz na te złowieszcze
Niebo i znaki; będziesz-li śmiał jeszcze
Chcieć zbawiać kogo z rodzaju, na który,
Wszystkie potęgi stworzonej natury,
Ze słusznym gniewem Stwórcy, co go karze,
Powstały razem?

JAFET.

Razem? o mój ojcze!
Możeż iść wściekłość ze słusznością w parze?

NOE.

Bluźnisz! — w tej chwili! — zuchwały mołojcze,
Drżyj!

RAFAEL.

Patryarcho, uhamuj się w gniewie!
Boleść i rozpacz usty jego władnie.
Lecz serce nie wie

O tem co mowi; — i nie upadnie,
Jak ci synowie niebios; i nie zginie,
Jako te córki ziemi; lecz gdy minie
Szał namiętności, będzie godnym ciebie.

AHOLIBAMAH.

O co za burza! na ziemi i niebie,
Wszystko się łączy ku naszej zagładzie.
Panie! nie równa walka między nami!
Chcesz, a zginiemy: — bo któż w równi kładzie
Moc naszę z twoją?

SAMIASA.

Moc nasza jest z wami!
Pod skrzydłem naszej opieki,
W świat jakiej gwiazdy dalekiej
Uniesiem was, a ujdziecie
Świat wasz niszczącej topieli.
A tam bezpieczne, jeżeli,
Przestając na naszych losach,
Przez miłość dla nas, będziecie
Mogły zapomnieć o świecie,
My zapomnim o niebiosach.

ANAH.

A mójże ojciec, a mój kraj rodzinny,
A mojeż pola, i góry, i lasy,
Gdzie mi tak słodko zszedł mój wiek dziecinny;
Zdołamże kiedy zapomnieć ich krasy,
I pieszczot ojca, i siostr mych ziemianek,
Gdy je pochłonie głąb? Któż w mojej duszy
Zatrze ich pamięć, kto me łzy osuszy?

AZAZIEL.

Ja, twój kochanek.
Nie bój się; chociam wygnaniec
Z nieba, — w przestrzeni bez granic,
Są światy godne Anioła,
Zkąd mię nikt wygnać nie zdoła.

RAFAEL.

Duchu występny! jakżeś stał się lichy,
Jak ciemny, jeżlić samego już łudzi
Kłamstwo twej pychy.
Czyż miecz co z raju wygnał pierwszych ludzi,
Czyż piorun, w przepaść co strącił Szatana,
Przed tronem Pana
Dotąd nie błyszczy?

AZAZIEL.

Piorun nie zniszczy,
Miecz nie zabije nas. — Proch strasz zniszczeniem,
Ciało orężem; nie nas nieśmiertelnych!

RAFAEL.

Doznasz za chwilę sił twoich tak dzielnych,
Aza cię zbawią przed Jego ramieniem.
Biada ci! grzech ściga kara,
Moc cię twoja omamiła:
Nie wiedziałeś, że nią była
Pokora twoja i wiara.

SCENA VIII.

CIŻ I CHÓR LUDZI

wbiegających zewsząd i szukających zachrony.

CHÓR LUDZI.

Niebo i ziemia, obłoki i morze,
Łączą się razem na zgubę nas biednych;
Cóżeśmy winni? o Boże nasz, Boże!
Słuchaj, wysłuchaj, nie nas tylko jednych.
Pola i lasy brzmią bestyi rykiem,

Wyciągających ku niebu swe szyje;
Ptastwo świst wichrów zagłusza swym krzykiem,
U stóp nam syczą wyjące się żmije,
Jakby chcąc wsparcia, o które my sami,
Żebrzem cię Panie, płaczem i jęczeniem: —
Zmiłuj się, zmiłuj, nie tylko nad nami,
Lecz nad naturą i wszelkiem stworzeniem!

RAFAEL.

Żegnam cię ziemio! Wy, dzieci jej gliny,
Nie śmiem, nie mogę, choć chciałbym was wspierać.
Pan sprawiedliwy — musicie umierać:
Pan miłosierny — śmierć odkupi winy!

(*ulatuje.*)

AZAZIEL.

Pójdź Anah! rzućmy ten chaos żywiołów,
Ani się lękaj łoskotu ich waśni;
Pod tarczą skrzydeł Aniołów,
Ulęż bezpieczna i zaśnij,
Jak orlę niegdyś w macierzyńskiem gniaździe.
Na słońcu jakiem lub gwiaździe,
Znajdziem świat lepszy od ziemskich padołów,
I życie wartsze anielskiej natury.

Czarne te chmury,
Nie są jedynem niebem.

(Azaziel i Samiasa *ulatują, unosząc z sobą* Anah i Aholibamah.)

Jafet (*patrząc za niemi*).

Ulecieli, —
Znikli w zamęcie skazanego świata!
I czy z nim razem zaginą w bałwanach
Wściekłej topieli:
Czy żyć gdzie będą nieskończone lata:
Stało się! nigdy nie ujrzę już Anah.

Chór Ludzi.

O synu Noego! miej litość nad nami,
Nad ludźmi, nad braćmi twojemi!
Czyż dasz nam zaginąć w zapasach z falami,
Sam w arce bujając nad niemi?

Matka (*podając dziecię*).

Zbaw, zbaw to dziecię!
W bolach mych wzięło życie,
Lecz ach! ileż pociechy,

Gdy się z swemi uśmiechy,
Tak do mych piersi tuliło!
Na cóż się urodziło,
Czem przewiniło
Niemowle moje, by ściągnąć gniew Boży?
Czy z piersi moich ssało takie grzechy,
Że za nie ziemia i niebo się sroży
Na moje dziecie?
Zbaw je, zbaw, o Jafecie!
Lub bądź przeklętym, ty, i twa rodzina,
I On!...

JAFET.

Niebaczna, stój! tożjest godzina
Przekleństw nie modłów?

CHÓR LUDZI.

Modłów! gdzież te modły
Zwrócim? do niebios? co się tak obwiodły
Chmurami od nas; czy do chmur? co same
Buchają morzem: czy do morza? które
Rwie swoję tamę
I wzdyma się w górę,
Że piaski pustyń mienią się w odmęty?

Nie, nie! — Przeklęty
Pan twój i zbawca! — Wiemy że daremnie
Kląć go jak błagać; lecz mamyż nikczemnie
Hymny mu śpiewać, lub podłem kolanem
Czołgać się przed Niezbłaganym,
By nas odepchnął na dno zgubnej toni?
Jeźli on stworzył ziemię, niech się płoni,
Że świat stworzył na męki! — Ha! już ryczą,
Już lecą, widzim, rozhukane wały;
Gonią za nami, jak lew za zdobyczą;
Głąb ich czarna jak otchłań, a ich biały
Szczyt zapieniony, jak śnieżyste góry,
Piętrzy się w chmury,
I z chmur z łoskotem na przód się przelewa.
Lasy i drzewa,
Rowienne z rajem, nim złudzona Ewa
Zerwała owoc wiedzy i niedoli,
Lub Adam śpiewał pierwszy hymn niewoli,
Tak niebotyczne, i tak jeszcze młodą
Kraśne urodą,
Nikną — i wszędzie tylko siność fali;
Co coraz wyżej

Rośnie, i dalej,
I coraz chyżej
Ku nam się wali;
Biada nam! — Synu Noego,
Spiesz, uchodź, i tam w swej łodzi,
Przy boku ojca twojego,
Szydź z naszych łez i powodzi!
A gdy obaczysz na tle oceanu,
Trupy twych braci, i wszego stworzenia:
Wznieś twemu Panu
Hymn dziękczynienia!

Jeden z Ludzi.

Błogosławiony, kto w Nim ufność złożył,
I w Nim ufając żył!
Ginąc nie będzie się trwożył,
Bo On mu doda sił
Cierpieć i znieść.
Cześć Panu, cześć!
On dał mi życie — On bierze co dał;
Będęż się chwiał,
Wrócić mu dar Jego ręki?

Nie! — i nim wieczna noc wzrok mój zaciemi,
I nim śmierć wiecznie me usta oniemi,
Cześć jeszcze Panu i dzięki!
Za to co było,
Za to co nynie;
Bo w Nim, jak żyło,
W Nim wszystko zginie,
Bo On początkiem i końcem wszystkiego;
Wszystko jest Jego!
Czas, przestrzeń, życie, świat, wszystko poczęte,
Pojęte i niepojęte,
Wieczność i nieskończoność — On uczynił,
On chce, i może zniweczyć.
Ja proch, jaż będę go winił?
Ja grzesznik, śmiałbym złorzeczyć
Panu i Bogu mojemu?
Nie! żyłem ufając Jemu,
Umrę ufając; — ani się zachwieję,
Widząc runący świat; — ani się strwożę;
Bo wiem, kto w Nim ma nadzieję,
Na wieki zginąć nie może. —

CHÓR LUDZI
uciekających przed zbliżającą się wodą.

I gdzież się obrócim, gdzie znajdziem schronienie,
Na skał-li tych wedrzem się strop?
Gdy wszędzie z nich lecą wezbrane strumienie,
By morze napotkać u stóp.
Czy w dzikich pod ziemi, rozpadlin skróś ziemi,
Ukryjem się sklepy kamienne?
Taż powódź potopu, jak sięgnie do stropu,
Napełni otchłanie bezdenne.

MŁODA DZIEWCZYNA (*biegąc za drugimi*).

Nie opuszczajcie sieroty,
Mnie nieszczęśliwej, mnie młodej!
Ojciec, i ojca namioty,
Bracia, i braci mych trzodzy,
I pola gdzie szły na paszę,
I sady, i wszystko nasze
Wszystko zalano! —
Dziś jeszcze rano,
Ze wzgórza, idąc do zdroju,
Spojrzałam — wszystko tak było
Ciche, tak spało w pokoju; —

Serce me błogosławiło
Bogu, i miejscu lubemu.
A teraz! — Czemuż, ach! czemu,
Było mnie nędznej rodzić się na świecie?

JAFET.

By umrzeć, umrzeć w lat kwiecie!
Szczęśliwsza wszakże, niż gdybyś tak jedna,
Skazana była, gdy otchłań beze dna
Pochłonie wszystkich, płakać nad wszystkiemi;
I jak ja, na pustej ziemi,
Żyć nie chcąc, cierpieć nie śmiąc się użalać: —
Panie! gdy wszystkich tracisz, po cóż mnie ocalać?

(Fale morza wpadają z łoskotem: Chór Ludzi rozpierzcha się w różne strony po górach: wielu tonie zajętych falą: JAFET *jeden zostaje na skale; w odległości ukazuje się arka, zmierzająca ku niemu).*

KONIEC TOMU III.

B. UMC

OMYŁKI DRUKU.

W Tomie pierwszym.

Strona 14. w. 6. *zamiast* kapuł *czytaj* kopuł
— 25. w. 5. — trafność — trefność
— 37. w. 10. — Bąb zabębni — Bąk zabębni
— 41. w. 14. — Stały cień — Słały cień

— 53. *zamiast następujących wierszy:*

Z uśmiechem z jakim pustelnik ubogi
Wita Aniołów wchodzących w swe progi,

Położyć:

Z uśmiechem z jakim pokutnik za grzechy
Wita w widzeniu Anioła pociechy,

Strona 37. w. 8. *zamiast* Gdy nieszczęsnej *czytaj* Gdy po nieszczęsnej.
— 59. w. 17. — I czarny jego pled, czapkę i pióro;

Popraw.

Czarny pled jego, i czapkę, i pióro;

Str. 63. w. 13. *zamiast* Lub że już hufce *czytaj* Że już szeregi
— 91. w. 15. — Nie, nawet czółna — Nie, nawet czółna
— 96. w. 12. — Już u stóp cały — Już u stóp skały
— 99. w. 13. — Ponuro *czytaj* Ponury
— 101. w. 19. — Olbrzymią widmę *czytaj* Olbrzymią wiedmę
— 180. w. 18. — I aż po Sztirling niknące *czytaj* niknący
— 227. w. 4. — do troski do pracy *czytaj* do trosk i do pracy

Str. 247. w. 20. *zamiast* Mgłą się piora *czytaj* Mglą się pióra
— 265. w. 8. — i zbrojni rycerze *czytaj* i zbrojne rycerze
— 271. w. 14. — słabej ręki mej *czytaj* słabe ręki mej

W Tomie drugim.

Str. 4. w. 7. *zamiast* możesz *czytaj* możeż
— 9. w. 18. — badać *czytaj* zbadać
— 30. w. 11. — i w puszczę ciaśniny *czytaj* i w paszczę ciaśniny
— 52. w. 4. — Bądź mi przynajmniej tęczą *czytaj* Świeć mi przynajmniej tęczą
— 58. w. 2. — tajemnie wyznanie *czytaj* tajemnic wyznanie
— 59. w. 15. — hasła posłyszą *czyt.* hasło posłyszą
— 61. w. 7. On w lewo, w prawo, i tnąc ścieszkę krwawą,

Popraw

On w lewo, w prawo, tnąc ścieszkę krwawą,
Str. 109. w. 5. *zamiast* nie wiedziała *czytaj* nie widziała
— 161. w. 5. — Co błysko tylko, *czytaj* Co błysło tylko,
— 168. w. 13. — Wyrwą z mej duszy *czytaj* Wyrwę z mej duszy

W Tomie trzecim.

Str. 118. w. 13. *zamiast* mlałażby *czytaj* miałażby
— 128. w. przedostatni — w lepiasz — wlepiasz
— 144. w. 12. — Mądrościa — Mądrością
— 159. w. 18. — Ida — Idą
— 171. w. ostatni — z brata — zbrata
— 176. w. 14. — nieźli, — nieśli,

213

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 8115

BIBLIOTEKA U. M C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000174164